Nr. 15. Lwów, Sobota dnia 8. Maja 1886. **Rok I.**

STRAŻNICA POLSKA

PRENUMERATA
na „Strażnicę polską“ od 1. Maja do 1. Lipca wynosi:
We Lwowie: . . . . . 1 zł. 50 ct.
Na prowincyi: . . . . . 1 „ 20 „
Za granicą: . . . . . 1 „ 30 „
REDAKCYA w Rynku L. 8.
ADMINISTRACYA Rynek L. 9.

TYGODNIK
POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNY
wychodzi
każdej Soboty wieczorem.
Nr. pojedynczy 15 cnt.

Inseraty od wiersza (petit) 5 ct.
Wszelkie należytości przysyłać należy pod adresem
Do Administracyi „Strażnicy polskiej“ na ręce p. **Szczęsnego Bednarskiego,** Lwów, Rynek l. 9.
Prenumeratę przyjmuje Księgarnia Polska. tamże sprzedaż pojedynczych Numerów.

Od Administracyi.

Zalegających ze spłatą prenumeraty wzywamy najusilniej o wyrównanie tejże, chociażby z tego względu, że podniesienie znaczne kosztów na stempel i inne wydatki, Redakcya nie podnosi ceny prenumeraty, a od 1go Lipca podwyżka będzie tylko taka, aby stempel i marki pocztowe były pokryte.

Prenumerata na *Strażnicę polską* od 1. Maja do 1. Lipca wynosi we Lwowie 1 złr. 50 ct., na prowincyi 1 zł. 20 ct., a za granicą 1 zł. 30 ct.

Od Redakcyi.

Szanownym naszym Prenumeratorom mamy dzisiaj nader ważną nowinę do doniesienia. Oto po siedmiu latach z górą, ciężkiego i twardego nowicyatu redakcyjnego, a znanej powszechnie walki z przeciwnościami, wobec której od 1. października roku zeszłego, byliśmy zaledwie w możności wydawać „Strażnicę Polską“ jako dwutygodnik — nareszcie usuwamy tę wielką niedogodność dla Prenumeratorów, zamieniając wydawnictwo nasze na pismo tygodniowe, które będzie wychodzić najregularniej każdej soboty.

Jakkolwiek to dwutygodniowe wydawnictwo wynagradzaliśmy dwoma arkuszami ścisłego druku, to jednak pomimo pilności redakcyjnej, ważne sprawy ogłaszane były za późno, a ileż z nich musieliśmy pomijać jako przestarzałe i znacznie prędzej podane przez inne pisma.

Z tego ostatniego półrocza wynosimy przynajmniej to moralne zadowolenie, że obecnie „Strażnica Polska“ uważaną jest w szerokich kołach, nietylko w kraju lecz i zagranicami tegoż — za pismo poważne, z którem się należy liczyć, pomimo usilnego o niem milczenia przez większą część galicyjskiego dziennikarstwa, które to milczenie przechodzi w śmieszność.

Inaczej się jednak zapatrują na „Strażnicę Polską“ nawet w wysokich sferach rządowych — gdy albowiem obowiązujące przepisy prasowe nakazują do Wiednia przesyłać po jednym egzemplarzu każdego Nru do Ministeryum spraw wewnętrznych, od nas zażądano, co się nader rzadko praktykuje, przesyłania każdego Nru „Strażnicy polskiej“ do Prezydyum Rady ministrów, a rozporządzenie to opiewa wyraźnie „z wyższego polecenia“.

Gdy nas więc w takich sferach nie lekceważą, to na pewnych dziennikach lwowskich, bardzo nam mało zależy.

„Strażnica Polska“ wychodzić będzie obecnie za kaucyą i ostemplowana, a więc upadnie nazwa **pisemka zaułkowego**, jak to była nazywana przez różne nasze znakomitości dziennikarskie. O charakterze „rewolwerowym“ zamilczano już w tem półroczu zupełnie. Jestto w każdym razie signum temporis, gdyż nie zawsze jest bezpiecznie strzelać podobnymi frazesami, które oddziaływują wprost przeciwnie, mianowicie, gdy moralność większości dzienników galicyjskich nie ma już żadnych tajemnic.

Obowiązkiem naszym jest, wyrazić wdzięczność i podziękę zacnemu obywatelowi tej ziemi, który z własnej woli i bez jakiegokolwiek osobistego interesu, zgłosił się sam do Redakcyi „Strażnicy polskiej“, składając 3000 złr. kaucyi jedynie w tym celu, aby „Strażnica Polska“ mogła być wydawaną prawidłowo, do pierwszego lipca rb. jako pismo tygodniowe, a od 1. lipca r. b. mogła wychodzić **dwa** a nawet **trzy razy tygodniowo.**

Zacny obywatel, składając kaucyę, co w obecnych czasach jest prawdziwie szlachetnym uczynkiem i ofiarnością, niechciał nawet od nas przyjąć słów podzięki, oświadczając wyraźnie: Spełniam tym obywatelski obowiązek, w tem przekonaniu, że Redakcya nie zejdzie nigdy z prawdziwej drogi i tego też jedynie od niej żądam“.

My z naszej strony, spełniać będziemy sumiennie to żądanie, jako nasz święty obowiązek.

Wydawnictwo, pomimo iż „Strażnica polska“ wychodzić ma od 1. lipca r. b. dwa lub trzy razy tygodniowo, pozostanie względnem, a to z powodu powiększonych znacznie kosztów na papier, druk, **stempel** — koszta przesyłki, pomnożenie współpracownictwa i konfiskaty. Będą to koszta znacznie większe jak dotąd.

Obecnie coraz liczniejsze i coraz poważniejsze głosy odzywają się nietylko w Galicyi ale i w innych ziemiach polskich — że *Strażnica polska* jest dziś niezbędnie potrzebną — a gdyby takowej nie było, należałoby ją stworzyć“.

Chcąc temu obowiązkowi zadosyć uczynić, odzywamy się nietylko do naszych dotychczasowych szanownych Prenumeratorów, ale do wszystkich współobywateli wszystkich stanów w Galicyi i w innych ziemiach tak polskich jak ruskich, — o poparcie materyalne przez prenumeratę — lub zasiłki dobrowolne.

Redakcya — uważając *Strażnicę polską* za własność publiczną, liczyć się będzie z każdego grosza, na co takowy użyty został. Zresztą wiadomem już jest dostatecznie, że pismo to nie było wydawane dla zysków osobistych, ale redakcya toczyła i toczy nieustanną walkę o byt tegoż.

Pamiętnik więźnia stanu

ś. p.

Ks. Wincentego Bukowskiego,

PLEBANA.

15)

(Ciąg dalszy).

Moskwa z Austryą prą na Portę, aby wydała emigracyą, rewolucyonistów i grozi wojną. Porta ustępuje i nakazuje w głąb aż do Szumli, do Brusy posunąć emigracyę. Emigracya węgierska wiesza psy na magnatach, zarzucając im sprzedanie ojczyzny przez Görgeya. Inni czynią zarzuty Koszutowi. Koszut pisze list do Pulskiego, agenta węgierskiego w Londynie tej treści:

„Nasza biedna Ojczyzna upadła, nie pod ciosem wrogów, ale przez zdradę i podłość synów swoich niewiernych. Podniosłem Görgeya z kurzawy, aby wywalczył wolność dla Węgier, a sobie sławę nieśmiertelną; a on stał się mordercą ojczyzny, nikczemnym zdrajcą. Od dawna niektórzy oskarzali go, że dąży do dyktatury, że myśli o zdradzie. Ja sam często parłem na niego, aby mi się zwierzył, czy pragnie zostać gubernatorem. Oświadczyłem mu gotowość przelania nań najwyższej władzy, która dla mnie była cierniową koroną. Görgey odpowiedział mi z uroczystą przysięgą, że żadnej nie pragnie władzy i że równie jak ja pragnie powrócić do życia prywatnego. Lecz wkrótce potem utworzyła się w obozie arystokratyczna kamarylla pod egidą Görgeya i poczęła krzyżować plany rządu narodowego. Taki był stan rzeczy po zwycięstwach pod Wacowem i Saszlo. Ja — pisze Koszut — uważałem wówczas Węgry za dosyć silne, aby Moskali pokonać, albo wojnę tak długo przeciągnąć, dopókiby za pośrednictwem europejskiej dyplomacyi zaszczytny dla Węgier nie stanął pokój. Lecz Görgey umiał tylko zwyciężać, ale nie korzystać z zwycięstwa. Zwycięstwo pod Komornem 26. Kwietnia mogło się stać drugą bitwą pod Marengo, gdyby Görgey był wyprawił dla ścigania nieprzyjaciela korpus Gaspara, który całkiem był nieczynny. Generał wtenczas był tak popularny, iż komitet wahał się odjąć mu naczelne dowództwo. Mianował go owszem ministrem wojny, a dowództwo czynnej armii oddał Damianiczowi. Lecz Görgey pod różnymi pozorami umiał przedłużyć swój pobyt w obozie aż do wkroczenia Moskali. Już za wstąpieniem pierwszej moskiewskiej nogi ludzie otaczający Görgeya oswajali publiczność z zamiarem układania się z Moskalami.

Interwencya moskiewska zastała Węgry wybornie uzbrojone i silne, liczyła armia 141.000 liniowego wojska. Twierdze w najlepszym stanie obrony, fabryka broni i strzeliwo w dobrym stanie. Przeciw nam 140.000 Moskali, 80.000 Austryaków, Ban Jelaczyc z 40.000. Głównem zadaniem było pojedyncze kolumny nie przyjmując walnej bitwy, jedne po drugich pokonać. Ja z Görgeyem umówiliśmy się Moskali bez oporu przypuścić — a tymczasem pobić Austryaków, uderzyć na Wiedeń lub Galicyę, a w 50.000 do Włoch i ztamtąd wraz z Włochami uderzyć na Austryaków. Ten plan aprobował Görgey i sam go zniweczył. Rząd narodowy odebrał mu dowództwo, a on uknuł spisek wojskowy. — Görgey zrzucił maskę.

W tej chwili zostałem sam — bezsilny — pozostało mi wybierać między śmiercią lub wygnaniem. — Obrałem ostatnie. Na plebanii w Żmigrodzie traktowały się te konszachty z Görgeyem. Latały sztafety do niego — sam car incognito był tu, aż gdy dobito targu, rozjaśniły się oblicza mongolskie.

W Węgrzech depczą prawa, zaprowadzają monopol tytoniu. Węgrzy składają fajki w stosy i palą,

Kilkanaście tysięcy złr., dołożonych w ciągu lat siedmiu, złożonych z ofiarności obywatelskiej — przez takich jak ś. p. Alfred Młocki, Ignacy Łukasiewicz, a z żyjących przedewszystkiem przez naszego serdecznego przyjaciela politycznego i druha Aleksandra Krukowieckiego i kilkunastu innych, tak z Galicyi jakoteż i z Korony, a których z różnych powodów wymienić nie możemy, a nareszcie wydawany przez lat siedm często z własnej kieszeni grosz ostatni, który również przedstawia poważna cyfrę, — ofiarność ta daje nam pewne prawo żądania pomocy od ogółu patryotycznego społeczeństwa.

Jedyne ustępstwo, do jakiego się zobowiązujemy, jest to, że będziemy jeszcze spokojniej pisać jak w ostatniem półroczu, nie ustępując ani jednego kroku z raz obranej drogi.

Wolni jak dotąd od krzywych poglądów, stać będziemy i nadal na gruncie ściśle demokratycznym.

Zarówno będziemy bronić idei polskiej jak i ruskiej, gdyż w tem tylko połączeniu ale najszczerszem i bratniem, widzimy lepszą przyszłość.

Stojąc wiernie przy wierze ojców naszych, nie będzie nam to przeszkodą, aby nieuszanować i innych wyznań.

Stać będziemy twardo w obronie praw ludu naszego, a hasłem jedynem pozostaną:

Bóg i Ojczyzna!

Na dziś.

III.

Staraliśmy się w poprzednich dwóch artykułach wykazać przyczyny obezwładnienia i bezradności społeczeństwa, szczególniej w chwilach dla niego niepomyślnych.

Przyczyny są wszystkiem; usuńmy je, a będziemy mieli otwarte pole do działania i ułatwioną walkę z nieprzyjaznymi prądami.

Nie unosi nas zarozumiałość i nie twierdzimy, że się nam udało wyliczyć wszystkie przyczyny, ale odsłoniliśmy przynajmniej główne.

Streścimy je raz jeszcze w dwóch głównych zdaniach:

Pierwszą i najważniejszą przyczyną, która wypacza i krzywi wszystkie usiłowania i prace społeczeństwa, to brak kontroli nad instytucyami autonomicznemi, naukowemi i społecznemi. W krajach, które posiadają system reprezentacyjny, może być kontrola rozumiana tylko jako dozór zbiorowy. Tymczasem tak samo, jak wyborcy za mało czuwają nad tem, co robią ich mandataryusze, tak samo ogół za mało się tem zajmuje, czego uczą i jak uczą jego dzieci; nie interesuje się także tem, jakie dzieła i jakie objawy w politycznej sferze chwali dziennikarstwo. Reakcya, która posiada skrzętnych, pilnych i zasilanych fun duszami agentów, ma za to pełną gębę pochwał dla wszystkiego co średniowieczne. Brak zatem kontroli, ospałość wyborców, bezkrytyczne, bo wygodne przyjmowanie przez ogół wszystkiego — to nasze zasadnicze wady. Jeżeli się z nich nie wyleczymy, to nie obwijajmy prawdy w bawełnę i społeczeństwo pomimo przyznania mu w zasadzie równych praw i spełniania obowiązków, ciążących na wszystkich, będzie jednak zawsze zbiorowiskiem lokai, albo jak się komu podoba, to służby, w ręku zręczniejszych i czujniejszych, którzy zawsze wytworzą *kastę* odrębną, *naród w narodzie, rząd w rządzie*, jak to dotychczas jest w Galicyi, wodzonej na pasku bractwa krakowskiego, rozumu podolskiego i obłudy jezuickiej.

Drugą ważną przyczyną, że stosunki podobne utrzymywać się mogą, że trwają już lata całe, to przy wielu sposobnościach, przy porażkach zadawanych publicznym interesom całego kraju przez *kastę*, objawiająca się pożałowania godna rezygnacya. Wielu bardzo zacnych mówi: nie ma rady, głową muru nie przebije. Najpierw, nieprawdą jest, żeby kilkudziesięciu ludzi ambitnych mogło stanowić ów rzekomy mur, a powtóre rada jest. Tak, jak wpływ przemożny składa się tylko z urobionych stosunków i to drogą nieprawą, tak samo ludzie także stosunki te przeobrazić mogą i powinni. Sfery mieszczańskie i lud stanowi większość. Idzie tylko o to, ażeby nie dawać się terroryzować, a to możliwe przy odwołaniu się do praw, zastrzeżonych konstytucyą, a powtóre idzie o to, ażeby umieć przerzedzić szeregi tych, którzy dają posłuch przekupstwu. Na to jedna rada: otworzyć wszystkim oczy. Kto może, powinien to czynić wśród ludu, a kto jest mieszkańcem miasta, dla tego nawet łatwiejsze zadanie. Ktokolwiek sprzedaje swój głos, niepomny, że idzie nietylko o niego, ale o byt i przyszłość jego rodziny, powinien być zdemaskowany. Wielu jednak nie wie, że sprzedaje za pochlebstwa albo za gotówkę głos swój frakcyi bez zasad, i tych pouczyć wypada. Co innego bowiem walka między stronnictwami, które mają na oku cel główny, dobro kraju, a tylko w doborze środków się różnią, a co innego walka pomiędzy zasadą a interesem koteryi. Łatwo odróżnić reprezentantów zasadniczego stronnictwa od agentów koteryi. Ludzie popierający kandydatów dla ich zasad, muszą z konieczności tylko w ogólnych zarysach przedstawiać, jak dążyć myślą do polepszenia stosunków w kraju — agenci zaś koteryi zawsze wam wyliczą w sposób bardzo lojalny, szereg postulatów równie lojalnych po to, żeby ich nigdy nie bronić, nigdy nie przypomnieć tam gdzie trzeba — bo *przezorność, dyplomatyzowanie, zakrywanie istotnych potrzeb* całej ludności, to ich najwyższy rozum polityczny. Za taki rozum odbiera się nagrody dla szczupłych kółek pod rozmaitemi postaciami.

Tak było dotychczas, tak jest obecnie. Tak będzie i nadal, jeżeli wszyscy nie postarają się o przeobrażenie zupełne stosunków; jeżeli nie zapanuje jednomyślność w sprawach, w których jednomyślność możliwa, a przewidywać ją można tam, gdzie każdy czuje przykre położenie.

Ale zmiana stosunków na lepsze nie odbywa się piorunem — nie! — to zadanie nadzwyczajnie trudne wszędzie, a najtrudniejsze w Galicyi. Nad zahukaniem sfer równouprawnionych, ale niewpływowych, pracowały żywioły reakcyjne lat kilkanaście. Żywiołom tym przyświecała tylko jedna myśl: ich niezgłębiona *ambicya*. Przenicowały one polityczną doktrynę wsteczników na swój ład hetmańsko-patryarchalny i wodzą na pasku umysły przerażone i przerażane. Doktryna ta mówiła, że *ograniczonym jest rozum poddanego*. Miało to niegdyś znaczenie, że o potrzebach ludności mógł wiedzieć najlepiej tylko mąż stanu, minister, który siadywał przy biurku i znał lud jedynie z relacyj swoich podwładnych.

Otóż żywioły reakcyjne tego kraju, przenicowały ją tak: słuchaj ty mieszczuchu i ty włościaninie i ty demokrato inteligentny, jeżeli się ośmielisz mieć własne zapatrywanie, zdanie, zasadę lub życzenie, to powiemy tam, gdzie nam tylko wierzą, że wyście wszyscy żywiołem przewrotu, żeście demagogią, spiskowcami i wichrzycielami bez czci i wiary — i uwierzą nam. Do chwiejnych zaś i do całego świata odzywano się temi słowy: My tylko, którzy jesteśmy wcielonym rozumem, otchnionym wszystkimi darami Ducha świętego, którzy reprezentujemy dojrzałość polityczną, tradycyę, wiarę ojców, umiarkowanie, wierność i rycerskość, wytrwałość w staniu i lojalność — my jedni zagłębialiśmy się w tajniki duszy *tego kraju i tej ludności*, my jedni wiemy najlepiej czego potrzeba, a tak kochamy ten kraj, ten ludek, a nawet te miasta nasze — boć to przecie nasze, my jedni zatem możemy wznieść się na wyższe stanowisko, objąć szerokim poglądem potrzeby kraju, dać im afirmacyę i sztuką trudnej, zaiste (sic) dyplomacyi, sprowadzić na ten kraj błogosławieństwa doczesne i przytem pamiętać zawsze o zbawieniu wiekuistem.

I zaledwo jedno głośne *Amen!* zamknęło i przypieczętowało tę apologię urodzonych dyplomatów, polityków, statystów i chwalców świętej tradycyi pokumanej z lojalnością — stanęła gotowa kohorta patryarchalno-hetmańska. Różnica między dawnymi a nowoczesnymi patryarchami w tem tylko, że gdy praojcowie ich dzierzyli zawiesisty bat albo kij w dłoni, nowocześni wzięli w rękę pióro. Ale gdyby im tak pozwolono pobawić się batożkiem. Trudna na to rada, piękne czasy minęły niepowrotnie. Bat był jeden i robił swoje, niekiedy nawet na dywanie, ażeby serdecznemu bratu, co równy wojewodzie nie robić despektu. To jedno narzędzie trzeba było ze zmianą tych przeklętych czasów, zastąpić kilku łaskami pomocniczemi. Weszło więc w użycie pióro najczęściej plugawe, które odzierało ze czci czyny szlachetne i mężów czynu, weszła w użycie obłuda, intryga, pochlebstwo, podszczuwanie i denuncyacya — dodajmy: szlachetna.

Hetmaństwo zamiast buławy wzięło w rękę worek Judaszów. Gdzie nie skutkowało pochlebstwo i jezuityzm, gdzie denuncyacya zawiodła — tam się cichaczem kupowało ludzi głodnych pieniądzmi, obietnicą, przyrzeczeniem protekcyi, albo groźbą wysadzenia z posady zbyt upartego i prawego człowieka.

Przed światem się mówiło: to walka z warcholstwem, to zimna woda na zagorzalców, to rozbrat z dawnymi błędami! Ale to, co się mówiło tak głośno i z taką dumą, że się wynalazło specyfik na uzdrowienie rozmarzonej Polski — to wszystko było kłamstwem.

Prawdą była tylko dążność do opanowania umysłów, do owładnięcia kraju i społeczeństwa, podminowanego rzekomo spiskami, rewolucyą i dynamitem.

Komuż można było z większą ufnością powierzyć ster tej skołatanej nawy ogłupianego

---

składając przysięgę nie palić kupnego tytoniu. Heinau konfiskuje majątki, ogłasza, że wierzyciele na dobrach konfiskowanych tracą kapitały. Żołdactwo niszczy winnice, wyrębuje latorośle i szczepy winne — zbytkuje w wandalizmie. Jeszcze jednego dziennikarza Ludwika Hang, adjutanta Bema, kazał Heinau rozstrzelać. Nakazuje, aby księża z ambony wyliczali te ofiary, których głowy padają pod toporem (chociaż byli wieszani); a gdy biskup Bemer tego się podjąć nie chce, skazano go na 20 lat więzienia. Szczęście, że zawczasu uciekł za granicę.

Emigracya węgierska popchnięta do Azyi, bogatsi udają się do Ameryki i do Anglii. Smutno w węgierskiej ziemi.

U nas ciężko i smutno polskiemu sercu. Narodowy strój zniesiony, mowa powszechna niemiecka, tylko w kółku rodzinnem po polsku mówią. Na wszechnicy krakowskiej nakazano wykładać w języku niemieckim — usunięto Polaków ze szkół i z sądów, zabrano gotówkę z depozytu sierocińskiego w całym kraju. Stojurcy, pod egidą metropolity Jachimowicza wspierają Niemców, bratają się z biurokracyą, popadie noszą czarnożółte suknie, wyprawiają bale dla biurokracyi. Śmiechu narobił pewien ulicznik, który idąc za popadią, ubraną w czarnożółty kapelusz, patyczkiem zręcznie rzuconym ten kapelusik z głowy zrzucił i czmychnął. To znowu na balu pewnym jakiś panicz przybliża się do popadi w czarno-żółtej sukni w pasy i puka jej do gorsu z tyłu. — „A to szczo? — odzywa się popadia. — „Dajte meni cygaro, bo ja dumaw, szczo to trafyka“. — Na takim balu znaleziono w pasztecie zdechłe kocię, a w pączkach inne konfitury. Te i tym podobne wyrządzano psikusy, aż w końcu pomiarkowali się Rusini, że Austrya niemiecka nie wierzy im, że drwi z nich, i brócili się twarzą do Petersburga, ale i tu nie ma dla nich zbawienia; jedynie dla tych, co się sprzedadzą za ruble.

W tych czasach padły wielkie klęski na kraj nasz. Nieurodzaj, wylew wody, drożyzna. W lecie zgorzał Kraków, trzecia część miasta zgorzała, kilka kościołów, a najbardziej szkoda pałacu biskupiego, gdzie były pamiątki narodowe i cenne obrazy. Miasto Sambor gore, Bochnia, w kopalniach ogień, Tarnów, Poznań zalany wodą. W tych czasach pędzą naszych Maćków i Fed'ków do Holsztynu Szlezwigu, a w Galicyi Niemcy i Czesi. W tej porze umiera ostatni biskup krakowski ks. Skórkowski, który od rewolucyi 1831 r. usunięty od stolicy biskupiej, mieszkał w Opawie na Szląsku, gdzie go lud za świętego miał. Rząd austryacki nie pozwolił go pogrzebać w kościele katedralnym w Krakowie, tylko na cmentarzu w Opawie (Troppau). W tym czasie opasano murem mogiłę Kościuszki, miano ją nawet znieść, ale się pomiarkowano, aby ludu do ostateczności nie podburzyć. Chciano nawet katedrę na Wawelu zamknąć.

Co się stało w Paryżu w naszej emigracyi. Tu w kościele Panny Maryi Wniebowzięcia zgromadziło się przeszło 400 osób i cała emigracya z żonami i dziećmi na nabożeństwo, (bo Napoleon podchlebiając carowi, zakazał mowy w dniu 29. Listopada, pod groźbą wydalenia emigracyi z Paryża). Wojskowi zjawili się w mundurach, kobiety w żałobie, błagając miłosierdzia bożego nad narodem. Mszę św. miał ks. Hube, emigrant. Po nabożeństwie, po odśpiewanych suplikacyach wstąpił ks. Kajsiewicz z zakonu *Zmartwychwstańców* i rozpoczął kazanie od tych słów:

— „Ojcowie nasi zgrzeszyli“ — i zaraz we wstępie grzech ojców przeniósł na narod i na emigracyę bozbożną. Mówił: „i kraj bezbożny, zamiast bronienia wiary świętej, znieważonej w Papieżu, zamiast bronienia wolności narodu słowiańskiego od Madiarów, zamiast bronienia katolicyzmu przed Aryanami, Kalwinami i heretykami, rzucili się w szeregi bezbożnych kacerzy; dlategoteż emigracya nie zobaczy Polski, a naród nie otrzyma Ojczyzny, i t. d.“ Te wyrazy wzbudziły oburzenie. Krzyki i wrzawa wzmogły się w świątyni. — „Precz z Je-

przez jezuityzm kraju — jeżeli nie takim zbawcom i patryarchom lojalności, tradycyi ożenionej ze zdrową polityką obecności — komu innemu?

W ten sposób obłudny patryotyzm z jednej strony, a z drugiej samochwalstwo zyskiwało odbyt w sferach najpierwej szlacheckich, a potem w nielicznych kołach dobrodusznej lub przewrotnej inteligencyi. W ten sposób jedni dostarczyli bezwiednych szeregów ślepo wierzących cnót, a drudzy zastępu filutów.

Stało się tedy, jak sobie patryarchalno-hetmańska koterya życzyła; zastosowanie doktryny o ograniczonym rozumie równouprawnionych na papierze świetnie się powiodło. Trzeba było dojść do tego oszukaństwem, dopuszczono się więc bez skrupułów oszustwa politycznego. Trzeba było łatwowiernym w kraju i rządowi w Wiedniu gadać, że plugawienie przeszłości Polski jest robotą patryotyczną i czyniono to, a w kraju i nad Dunajem wierzono. W kraju mniemano, że tak się potęguje zdrowe pojęcia o duchu i zadaniach narodowych; a w Wiedniu mniemano, że to sposób rozkrzewienia patryotyzmu austryackiego.

Tymczasem ani jedno ani drugie; tymczasem to oszustwo i jedyny był sposób, ażeby koterya mogła bezkarnie postawić nogę na karkach równouprawnionych obywateli.

Plugawienie przeszłości dawało w pewnych chwilach możność kokietowania z absolutnym rządem Rossyi, nawet wbrew interesom państwa austryackiego. Patryarchowie i hetmani koteryi posuwali się nawet niekiedy do zuchwalstwa, już nie przeciw ograniczonego rozumu współobywatelom, ale przeciw sferom wysokim w Wiedniu.

Owocem tego politycznego kuglarstwa, są dzisiejsze stosunki w kraju. Gdzie jest natomiast ów zdrowy program polityczny, owe trzeźwe poglądy — gdzie równouprawnienie i świadomość praw, i korzystanie z nich? Ciśnie to wszystko stopa koteryi. Dla tego trudno zmienić te stosunki, ale trudność nie wyklucza możności.

Denuncyacye hetmańskie zużyły się, a ciężkie czasy ośmielą zahukanych. Część tylko uporu tego, który okazują jednostki w sprawach osobistych, niech okażą w interesie publicznym, a będzie zrobiony początek. Program polityczny koteryi, to przyjaźń z żywiołami reakcyjnymi, programem więc ludzi niezsolidaryzowanych jeszcze, powinien być sojusz z żywiołami postępu, ze stronnictwem liberalnem i demokratycznem. Gdzie ich szukać, o tem wiedzą wszyscy. Programem ekonomicznym koteryi, wiadomo także co było i jest: oto zdobycie stanowisk dla zauszników. Programem ekonomicznym ludzi miłujących dobro kraju, powinno być przedewszystkiem zbadanie potrzeb mieszczaństwa i ludu. Tymczasem to, bo w istocie nikt tych potrzeb naprawdę nie zna, bo praca taka w oczach koteryi, była warcholstwem. Tymczasem więc to musi być programem. Kto bowiem pragnie szczerze polepszenia, musi zacząć od reform, a reformy nikomu projektować nie wolno, kto nie zna dokładnie i szczegółowo potrzeb całej równouprawnionej ludności. Rozważanie owych potrzeb, to zadanie ciał ustawodawczych, tak sejmu krajowego, jak rady państwa w Wiedniu. Czy można liczyć na jednomyślność w kraju wszystkich uczuwających przykre położenie? Sądzimy, że tak. W parlamentach jest zwyczaj, że przewodniczący woła: kto się z tym wnioskiem zgadza itd.

Ale naród i kraj nie jest parlamentem, ośmielamy się więc zastosować taką taktykę: Kto się z wnioskiem badania potrzeb ludu i mieszczaństwa zgadza, niech zabierze głos i niech ten głos o życzeniach, cierpieniach, potrzebach gminy, włości, miasta i kraju przysyła do naszego czasopisma. Głosy takie muszą być zwięzłe, tchnąć prawdą i prostotą i zawierać jedynie to, o czem każdy z szanownych obywateli i czytelników wie jak najdokładniej. Razem wzięte przedstawią obraz rzeczywistych potrzeb kraju. Uzupełnią je programem politycznym ludzie, znający także ogólne położenie monarchii, i innych dzielnic Polski. Wówczas pozbędziemy się mglistych wyobrażeń o tem, co możliwe, a co niepodobne do urzeczywistnienia, a kuglarstwo polityczne koteryi upadnie samo przez się.

W zbiorowym bowiem głosie, będzie prawda, nie iluzya; w objawie ogółu będzie zadatek przyszłej solidarności żywiołów demokratycznych. A tu raz jeszcze dla zamknięcia gęby kuglarzom „towarzystwa i szyku" — musimy przypomnieć czytelnikom, co to demokratyzm? To zastosowanie praw uzyskanych legalnie do warstw jak najszerszych, to wykluczenie wyłączności i przywilejów kastowych, to wreszcie zerwanie z ciemnotą i wyobrażeniami średniowiecznemi, to nakoniec rozumna obrona tego organizmu politycznego, który najwięcej takich praw ogólnych zapewnia.

Więc to nie rewolucya i nie demagogia? Nie — to prawość i jaśniejsza przyszłość, to wstęp do pracy nad przeobrażeniem złego na dobre, to zadanie ciosu śmiertelnego jękom i kwileniom, gdy dotyka klęska — to słowem zamiast rąk załamanych — czyn patryotyczny, który doda otuchy nawet wątpiącym.

Moskiewska tajna policya
w Galicyi.

Donoszą nam z Przemyśla o fakcie w obec którego zbyteczne są wszelkie komentarze. Dajemy więc wierny odpis korespondencyi, jaka nam nadesłaną została z wiarygodnego źródła. Oto niedawno temu, jeden ze słuchaczy duchownego seminaryum ruskiego napisał list do posła p. Romańczuka we Lwowie, w którym obszernie ale wiernie skreślił postępowanie moskalofilów przemyskich, zajmujących rozmaite wybitniejsze stanowiska tamże. Treść tego listu miała rzeczywiście rzucać jaskrawe światło na szerzenie moskiewskiego ducha, a wielce szkodliwego nietylko dla Galicyi ale i dla monarchii austryacko-węgierskiej.

Autor tej korespondecyi prywatnej i czysto poufnej, włożył takową własnoręcznie do skrzynki pocztowej w Przemyślu lecz list nie doszedł do Lwowa, do rąk adresata p. Romańczuka, a natomiast pojawił się w Przemyślu w odpisach dosłownych, które kursowały pomiędzy moskalofilami i naturalnie hajże na Soplicę! na autora listu, jako na zdrajcę i odszczepieńca — ruskiego borytelstwa i patryotyzmu kacapskiego. Przełożeni, pociągnęli autora do odpowiedzialności, który jako człowiek prawy i rzeczywistny patryota **Rusin**, ale nie kacap niezaparł się bynajmniej autorstwa. Jak go borytele ścigać będą i prześladować, to na to zapewne nie będzie potrzeba długo czekać. Nam chodzi tu jednak zupełnie o co innego.

Oto w *Strażnicy Polskiej* wskazujemy nie od dziś, że w Galicyi rozwielmożnia się coraz więcej nurtowanie w narodowości ruskiej na rzecz rządu rosyjskiego. Agitacya ta popierana silnie rublami, a jak lepiej poinformowani twierdzą stałemi pensyami wciska się we wszytkie warstwy społeczne i gromadzi materyał palny. Wyraźnie mówimy, że niema warstwy społecznej ani zawodu, w którychby emisaryusze moskiewscy nie przeprowadzali skutecznie swych planów, pomiędzy ludem wiejskim w miasteczkach i miastach, pomiędzy nauczycielami (pomiędzy tymi mianowicie są notorycznie znane osobistości, działające w tym kierunku tak we Lwowie jak na prowincyi), urzędnikami, a nawet w armii. Rzecz się tak jawnie dzieje, iż w obozie narodowców znana jest prawie każda taka osobistość. Do jakiej zaś śmiałości dochodzi ta propaganda, to najlepiej dowodzi to, że nawet taka instytucya jak c. k. urząd pocztowy, nie jest od jej ciekawości zabezpieczony, jeżeli list włożony do skrzynki w Przemyślu nie dochodzi adresata we Lwowie. Zwracamy uwagę, że fakt ten jest naruszeniem zasadniczego artykułu konstytucyi o tajemnicy i nienaruszalności korespondencyi.

Jesteśmy przekonani, że wysoki rząd zwróci uwagę na ten fakt i wdroży zapewne najściślejsze śledztwo, jak się to dziać może, że listy wkładane do skrzynek w Przemyślu giną niedochodząc adresatów, a potem kursują w odpisach.

Przy tej sposobności musimy zwrócić uwagę odnośnych sfer, a mianowicie wysokiego ministerstwa wyznań i oświecenia, że propaganda moskwicyzmu odbywa się dotąd bezkarnie jeszcze w innym kierunku i tak. Wyzyskiwane tu jest równouprawnienie języka ruskiego w szkołach i urzędach, a przyznać należy, że nader zręcznie i sprytnie, jeżeli nawet władze rządowe nie zwróciły na to uwagi.

Mamy przed sobą dokumenta pochodzące od władz rządowych, a nawet z Wiednia, które pisane rzekomo w języku ruskim, redagowane są rzeczywiście w języku **rosyjskim**, a przynajmniej w wskroś naszpikowane moskwicyzmem. Oto są owoce, jakie dotąd zdołała propaganda moskiewska w Galicyi i Austro-Węgrzech osiągnąć. Jak się to dzieje i dziać może, to rzecz jasna jak na dłoni. Oto w szkołach ludowych i średnich, toczy się nie od dziś zacięta walka pomiędzy Rusinami narodowcami, a moskalofilskim żywiołem i agentami, w której gdy pierwsi usiłują język ruski oczyścić z wszelkich naleciałości moskiewskich, drudzy broniąc rzekomo **literaturnego język wielkoruskiego**, usiłują go zaszczepiać wszelkiemi siłami nie tylko w nauce, ale i w obrobieniu ducha młodzieży na to kopyto, a że się szczepi także ideę carosławia wrogą idei habsburskiej, tego borytele nie mogą zaprzeczyć, bo możemy im to udowodnić na każdym kroku. Że gimnazyum przemyskie jest jakby pieleszą tej nauki języka rosyjskiego, o tem mogłaby się rada szkolna krajowa, każdej chwili przekonać.

Wiadomo nam jest również, że niejednokrotnie zwracano uwagę osobistości wpływowych na losy szkolnictwa naszego, aby zwrócono uwagę na tych boryteli, których utrzymuje kraj. Lecz trudno pojąć, dla czego głosy te pozostają dotąd bez echa? — a przecież chociażby we Lwowie tylko, każdy uczeń uczęszczający do gimnazyum ruskiego lub innych szkół, w których uczą języka ruskiego, wskaże palcem takiego apostoła moskwicyzmu. Dość przejrzeć zeszyty uczniów aby się przekonać, który nauczyciel uczy po rusku, a który po rosyjsku. Ci ostatni nie

---

zuitami, precz ze Zmartwychwstańcami!" „Precz z kazalnicy!" — Zatłumiono głos Kajsiewicza. Jedni powstawali i pięściami grozili księdzu, kobiety popadały na kolana, zalewając się łzami i modliły się z jękiem.

Nareszcie po półgodzinnej wrzawie, lamencie i krzykach zawołało kilku: „Żyje jeszcze Bóg, żyje sprawiedliwość jego, żyje Polska! Niechaj zginą Jezuici i Zmartwychwstańcy, a my opuścimy raz na zawsze to zbezczeszczone miejsce, w którem wyrodny Polak, jezuita, śmiał publicznie rzucić klątwę na emigracyę, na biedną Polskę! — Niech żyją Włochy! niech żyją Węgry! niech żyją Niemcy! — i wyszli z kościoła. Ks. Kajsiewicz musiał zejść natychmiast z ambony i zamknięto kościół. Francuzów niewielu było, ale zato wielka liczba Włochów, Niemców, Węgrów, Hiszpanów i Moskali.

W następującą niedzielę wstąpił ks. Semeneńko na ambonę; tłumaczył ks. Kajsiewicza, ale emigracyi nie było, na zawsze opuściła świątynię, z której głos przekleństwa padł na Polskę i jej synów.

Ten ks. Kajsiewicz, Semeneńko i inni Zmartwychwstańcy i w r. 1863 przyczynili na Polskę, na powstanie. Ta sekta wyrzekła się ziemskiej ojczyzny dla niebieskiej, i dziś są Jezuitami najsilniejszymi.

Smiesznem było, że Niemcy szukali Bema po całej Galicyi, nałożywszy na głowę jego 30.000 zł. W pobliskiej wsi Sądowej Wiszni komisarz Dworzak uganiał z chłopami po wsi za Bemem i taką obławą uchwycił kilku dziadów, pomiędzy nimi jednego, podobnego do opisu Bema. Zwyczajnie, strach ma wielkie oczy.

Z ciekawych w tych czasach wypadków pamiętam, że Moskale przechodząc przez Galicyę, porwali ze sobą jenerała Załuskiego w Jasienicy, a potrzymawszy go między sobą, wypuścili nareszcie. Porwano także Ziemiałkowskiego, Hubricha, Schneidera i innych do Wiednia. Wyszedł zakaz rządowy, aby Polaków nie przyjmować na politechnikę ani do seminaryów.

Gdy tak Polaków ścigają po Europie, gdy nawet w Paryżu pobyt ich niepewny, gdy w Neuf-Schatel, Szwajcaryi, kilku emigrantów naszych zamkniętych w pewnym domu i podpalono, a gdy skakali przez okna, na bagnety zadzierżgano i zabijano, — to w Ameryce po królewsku przyjmowano naszych, za co Austrya amerykanom zakazuje przystępu do kraju. Polacy z godnością znoszą swój los i gotują się do przyszłej walki z Moskwą, na którą się zanosi. W Wielkopolsce setkami wiążą chłopów kosynierów za wrzekome powstanie po kazamatach. A gdy powstańców wypuszczają, golą im do połowy głowy, wąsy i brody, a uszy i ręce smarują rozczynem piekielnego kamienia, oddając na pastwę żydom i motłochowi niemieckiemu. Tak nazwane „freikury", gwardya niemiecka w Poznańskiem z kolonistów, na czele z junkrami, dziedzicami, napada dwory i wsie, bije, katuje, rani bezbronnych, gdy już po powstaniu.

W Niemczech zaprowadzono stan oblężenia. W Berlinie jakiś osioł doktoryzuje się i rozbiera temat: „Morbus democraticus, nova insaniae forma". Oto jest oświata pruska! Gwizdaniem i stukaniem wyszydzono błazna doktora. Zapanowała na nowo siła przed prawem.

Dalszy pobyt w Sądowej Wiszni r. 1851, 1852 i 1853.

Okropny stan reakcyi trwa. Deptanie narodu przez biurokracyę i policyę, przez nowo zaprowadzoną żandarmeryę. W tym roku otworzono pod godłem „unitis viribus" 16 pułków żandarmeryi. Żandarm każdy mógł każdego aresztować, a w razie

kryją się nawet przed uczniami, z swoją wielko-rosyjską ideą i faktem jest, że prześladują nawet tych uczniów, którzy się do ich wielkoruskich podszeptów niechcą naginać.

Byłoby więc wielce na czasie, aby tej nader niebezpiecznej propagandzie dla monarchii stanowczo położyć koniec.

Katastrofa w Stryju.

Nie będziemy powtarzać szczegółów tego strasznego pożaru, a nie zawiele się powie, że stanowiącego klęskę kraju. Wszystkie te szczegóły podane już zostały dostatecznie przez krajowych a nawet zagranicznych reporterow dziennikarskich; nie będziemy więc pisać rzeczy znanych, ale zastanowimy się z innej strony nad tem wielkiem nieszczęściem, które przoduje całemu szeregowi innych, chociaż nie takiej doniosłości pożarów. Nie można się dziwić, że na całym obszarze Galicyi zapanowała obecnie panika, gdy szczególniej po miastach prowincyonalnych i wsiach kładzie się każdy do snu z obawą, czy go nie przebudzi łuna pożarna i czy ze wschodzącem słońcem nie będzie zmuszony stanąć w szeregu tych nieszczęśliwych, których ogień przemienił na nędzarzy, a przed nimi — żywot bez jutra.

Dodajmy do tego złowrogie wieści, jakiemi przyprawione były święta Zmartwychwstania Pańskiego w Galicyi wschodniej, a przyznać każdy musi, że tych wzruszeń troszkę już za wiele.

Dziwna jednakowoż rzecz, że pomimo tak groźnego położenia, dziennikarstwo galicyjskie, mieniące się „niezależnem“, chociaż się sili i na wyścigi podaje najdrobniejsze fakciki, unika troskliwie wskazania pięty Achilesowej, gdzie właściwie należy szukać złego, które głównie przyczynia się do ostatecznej ruiny kraju. Otóż zadaniem naszem będzie uchylić chociaż częściowo tę zasłonę i zastanowić się nad dolą, która na seryo zaczyna być groźną. Dalej, czy w danym razie podobnej katastrofy jak pożar Stryja, jest możebna obrona i niedopuszczenie do tak wielkich rozmiarów, lub czy też skazani jesteśmy wprost na fatalizm losu, ruiny ostatecznej.

Przypatrzmy się temu miastu, które się Stryjem nazywało i liczyło 16.000 mieszkańców, było siedzibą starostwa, sądu, rady powiatowej i innych władz, mieściło składy wojskowe, posiadało szkołę realną zamienioną na gimnazyum, kasę oszczędności, towarzystwo zaliczkowe i inne instytucye finansowe; dodajmy, że Stryj był już węzłem aż trzech linij kolejowych i połączony bezpośrednio ze stolicą kraju; że tam stale zamieszkiwało mnóstwo rodzin inteligencyi, poważnych emerytów, a każdego lata miało tam setki osób willegiatury, kąpiąc się i pokrzepiając zdrowie świeżem podgórskiem powietrzem. Otóż jak widzimy Stryj posiadał wszelkie warunki miasta prowincyonalnego, które ma prawo, aby było postępowo zarządzone dla dobra zamieszkujących je obywateli, a tem samem dla dobra kraju. Należy jeszcze i to nadmienić, że znaczny ruch handlowy, targi i jarmarki ożywione, niosły magistraturze stryjskiej znaczne dochody, a więc było nareszcie i czem gospodarować.

Te jednak wszystkie dodatnie warunki przedstawiają w Stryju odwrotną stronę medalu, chociaż nie unikat w swoim rodzaju, ale przeciętny obraz naszych autonomicznych rządów, autonomicznej bezkarności i swawoli, które jedynie dążyć muszą do zniszczenia kraju. Nie jestto dziś tajemnicą, a tem mniej oszczerstwem, że nawet najpiękniejsze i najpożyteczniejsze ustawy konstytucyjno-autonomiczne przestały u nas istnieć, a pozostały tylko na papierze.

Gdy magistratury i urzęda gminne tego rodzaju, wychodzą z wolnych wyborów, bywa często, że osobistości powoływane na obywatelskie stanowiska, nie posiadają zawsze tych warunków, jakich od naczelników gmin żądać należy, szczególniej tam, gdzie oświata stoi jeszcze na nader niskim stopniu. Mamy jak wiadomo wielu burmistrzów i wójtów gmin, którzy zaledwie swe nazwisko zaznaczyć umieją na papierze, a więc jeżeli i rada złożona jest z takich sił, to czegoż się po niej spodziewać można? Stryj znajdował się jednakowoż w innych warunkach, bo tam burmistrzem był dr. praw, adwokat, poseł na sejm krajowy itd. itd., a więc osobistość, której o brak inteligencyi nie można było posądzić, a tem mniej o nieznajomość ustaw krajowych, których szczególniej poseł na sejm krajowy powinien był ściśle pilnować. A nie brakło inteligencyi i w Radzie. Nic to jednak nie przeszkadzało, że Stryj świecił tak skandaliczną kroniką co do zarządu miasta, jak ostatni partykularz, jaki w Galicyi istnieje. W Stryju tak samo nie znajdowały poszanowania i nie były wykonywane ustawy i prawa gminne, jak w osławionych pustkowiach. Foliały spisywano o tej smutnej gospodarce. Rozkradanie kasy gminnej nawet po kilkadziesiąt tysięcy złr., było na porządku dziennym; kto chciał i kto się wiązał w silniejszą klikę, wyzyskiwał miasto i rabował ile mu się podobało, a biada temu, kto usiłował położyć swoje veto przeciw tym nadużyciom. Że w Stryju panowała w całem słowa tego znaczeniu tak nazwana „gospodarka żydowska“, a mniejsza o to, chrzczona czy nie chrzczona, temu p. dr. Fruchtmann, burmistrz i poseł na sejm krajowy, oraz jego polityczni przyjaciele nie śmią zaprzeczyć. Zaiste, nie chcielibyśmy być na ich miejscu i mieć sumienie tak obciążone wyrzutami, jak oni mieć powinni.

Jakiż to jaskrawy obrazek tej gospodarki, w 16 tysięcznem mieście. Gdy pożar wybuchł, dwie sikawki jakie istniały, nie były do użycia, (na jednem z ostatnich posiedzeń Rady miejskiej przed pożarem, jeden z członków rady stawiał wniosek, aby te bezużyteczne graty sprzedane były jako stare żelaziwo) a zawiązana ongi straż ogniowa, ale widocznie jako zbyteczna już nie istniejąca, pozostawiła hełmy, mundury, czekany, sznury i drabinki, które się na strychach magistrackich spaliły. Czyby ten obrazek strasznej lekkomyślności nie powinien wystarczyć, by p. burmistrza wraz z radą miasta pociągnąć do odpowiedzialności osobistej?

Przyjrzyjmy się teraz przepisom i ustawom budowniczym, obowiązującym po miastach szczególniej takich jak Stryj. Wiadomo nam przynajmniej, że w Stanisławowie, Kołomyji, i po innych miastach, wskutek smutnego doświadczenia, nie wolno już w śródmieściu i po głównych ulicach, mianowicie nowych domów pokrywać gontem, ale blachą lub innym ogniotrwałym materyałem.

W Stryju działo się jednak inaczej; o te przepisy nikt się nie troszczył. W ostatnich kilku latach za burmistrzostwa p. Fruchtmana wybudowano w Stryju mnóstwo domów, wil, i nieomal pałacyków; powstały całe nowe ulice, a szczególniej t. zw. Pańska, pojedyńcze budynki na oko bardzo nęcące, otoczone pięknymi ogródkami, były nawet urządzone z komfortem, — lecz mało było takich właścicieli, którzy byli obowiązani użyć na pokrycie dachu blachy, a nie gontów. O innych środkach ochronnych nie warto już mówić, bo o zastósowaniu tychże dla dobra miasta na podstawie ustaw obowiązujących, nia śniło się nawet p. dr. Fruchtmanowi i innym szanownym ojcom miasta. W chwili katastrofy nie było nawet jednej uczciwej beczki do wożenia wody, nie było wiader, nie było haków, nie było drabin. Tak samo nie było mowy o jakiemkolwiek pogotowiu pożarnem, a o organach policyjnych lepiej zamilczeć.

Nie można się też bynajmniej dziwić, że w chwili katastrofy nie było ani jednego **człowieka**, ani jednej głowy, którąby wzięła kierunek obrony przed pożarem w silne ręce, aby cośkolwiek uratować. Jak mało znajdowały tam uwzględnienia przepisy pożarowe, niech posłużą stosy aktów i fascykułów papierowych, złożonych na strychach starostwa, które jak ogniste smoki unosił wicher w powietrzu, roznosząc pożogę po wszystkich dachach, która sięgała aż o kilka kilometrów za miasto, gdzie spaliła budkę kolejową. Przeładowanie wszystkich strychów materyałami palnymi, o które się magistratura stryjska nie troszczyła, oto jedna z głównych przyczyn, dlaczego pożar przybrał tak straszne rozmiary. Nie lepsza była troskliwość o grosz publiczny w instytucyach finansowych, gdzie przechowywano znaczne sumy w żelaznych, nawet nieogniotrwałych skrzyniach, lub nieprzedstawiających bezpieczeństwa i to w lokalach, zwanych szumnie „kasami“, które nawet sklepione nie były, a wertheimówki z piętra zlatywały na dół.

To wszystko razem stanowiło jednak tylko jedną połowę grozy i strasznych strat nietylko mienia, ale i życia ludzkiego, jeżeli sobie uprzytomnimy, że od pierwszej chwili pożaru, który się rozpoczął w sobotę, o godzinie 2 w południe, aż do poniedziałku w południe było miasto ogołocone z wszelkiego kierownictwa obroną i wydane na łup rabunku i kradzieży rozbestwionego i bezkarnego motłochu, który jak stado kruków i sępów zdążał ze wszystkich stron napadał, rabował i niszczył wszystko, co się tylko zniszczyć do reszty dało. Tu należy szukać najsmutniejszego obrazu naszej gospodarki w kraju, jeżeli wobec takich katastrof nikt się nie poczuwa do natychmiastowego ujęcia steru ratunkowego w silne ręce. P. burmistrz był we Lwowie, a więc nieobecny, ale jak nam wiadomo, wiadomości telegraficzne, jakie przyszły do stolicy kraju, były wystarczające, aby zrozumieć całą grozę, co się tam dzieje; a tem łatwiej można ją było zrozumieć, jeżeli łączność telegraficzna została przerwaną. Zresztą gdy nocnym pociągiem przybyło już mnóstwo nieszczęśliwych i naocznych świadków do Lwowa, którzy opowiadali co się dzieje w Stryju, jak tam opanowuje miasto nietylko pożar, ale setki szakali-ludzi, to nie należało się zadawalniać tem, **do kogo to należało**, że magistrat wysłał dwie sikawki i kilkunastu strażaków, bo przecież Lwów posiadał inne środki siły, które bez najmniejszej straty czasu powinne były być użyte do ratunku nieszczęśliwego miasta.

Do tego obowiązku nikt się jednakowoż nie poczuwał. A dlaczego? Oto będziemy mówić otwarcie, czy się komu spodoba, lub nie, — mniejsza o to. Stoimy i stać będziemy zawsze na straży dobra kraju, a w takim wypadku nie liczymy się z jednostkami, z osobistościami.

Oto pożar wybuchł w sobotę i wiedziano zaraz o tem, że to jest **„katastrofa“** — ale na drugi dzień, t. j. na niedzielę przygotowywały się we Lwowie dwie wielkie uroczystości: jedna jubileusz służbowy p. Oktawa Pietruskiego, a druga, bodaj czy jeszcze nie ważniejsza, pożegnanie pani Sembrich-Kochańskiej. A więc jakżeż tu można było wymagać w obec dwóch takich wielkich faktów dla historyi i kroniki Lwowa, by ktoś, kogo to mogło obowiązywać, mógł opuścić

---

oporu strzelać i zabić. Żandarmów opatrzono w wygody jakich dotąd nie mieli. Żandarm stał się postrachem dla niewinnych i winnych; dopuszczał się często gwałtów, a ztąd było pełno skarg. I tak: w Brzozowie ks. kanonik jechał do chorego; żandarmi przed koszarami na głos dzwonka paląc cygara nie zdjęli nawet czapek. Gdy ks. kanonik powracał od chorego, stanął przed koszarami i czynił im wyrzuty, że nie oddali czci Jezusowi Chrystusowi. Zaledwie przybył na plebanię, przyszło 4 żandarmów po niego, chcąc go porwać do aresztu, i zarzucając mu obrazę Majestatu. Prosił się ksiądz, iż mogą go w domu trzymać pod strażą, ale nic nie pomogło. Mieszczanie się oburzyli i byłoby przyszło do rozruchu, gdyby sędzia tamtejszy nie był się w to wmięszał, biorąc księdza do protokołu aby śledztwo rozpocząć. Dopiero wtenczas uspokoili się żandarmi. Ksiądz udał się do władz wyższych, ale nic nie wskórał.

W drugiem miejscu ksiądz był w polu z psem domowym. Nadszedł żandarm, na którego pies zaczął szczekać. Żandarm kaleczy go, a gdy ksiądz za psem się ujmuje, że pies chociaż szczeka nie kąsa, żandarm psa zastrzelił. Ksiądz się oburzył i beształ żandarma; ten schwycił księdza i ciągnął do aresztu, ale się ksiądz jakoś wywinął. Gdzie indziej księdza powracającego z jarmarku napadł żandarm; ksiądz borykał się, odebrał karabin i złożył w urzędzie, opowiedziawszy fakt. Pomimo to popadł w uciążliwe śledztwo i o mało się do więzienia nie dostał. A wiele to wypadków było kłucia chłopów lub zastrzelenia z błahego powodu, za lada upór lub ucieczkę. Słowem były to gwałty, które się aż o tron Najjaśniejszego Pana opierały. Dopiero w kilku latach poskromiono nadużycia żandarmeryi.

W Przemyślu ks. biskup odwołał swe czyny patryotyczne; po powrocie z Wiednia powtórzył to odwołanie słowem i drukiem. Pomimo to oddano go pod dozór duchownej policyi księży Hoppego i Kirchenbergera. Rząd duchowny (spirytualia) dzierzył wprawdzie ks. biskup, ale rządy i karność kościelną, uchwycił Hoppe w swe ręce. Bez jego woli i wiedzy, nic konsystorz działać nie mógł. Ten Hoppe wyjednał sobie biskupstwo w Tarnowie, ale go nie przyjął, myśląc o przemyskiej infule i będąc pewnym, że ks. Wierzchlejski nie utrzyma się. Ale się Hoppe zawiódł; otrzymał tylko order św. Leopolda i infułę, bo pogniewał na siebie ministeryum przez nieprzyjęcie biskupstwa Tarnowskiego. Gdy cesarz przybył do Przemyśla, biskup nie był proszony do stołu, tylko ks. kanonik Hoppe. Żandarmerya duchowna, księżom patryotom rozbijała patryotyczne obrazy, rozdzierała dzienniki i zabierała książki. A gdy się taki ksiądz podał na probostwo, to go z pewnością nie dostał.

W roku 1851 w czerwcu, hr. Gołuchowski wydał orzeczenie na piśmie dla 48 księży w Galicyi, że tak długo będą wykluczeni od samoistnego urzędowania, pokąd nie dadzą dowodnych faktów lojalności. Między tymi za rekomendacyą wyżej opisanego Neumana, dostał się i mnie taki dyplom, podpisany przez infułata Hoppego, z surową naganą i wezwaniem do poprawy mego żywota.

Z goryczą serca oddawszy się na wolę Boga, schowałem ten dyplom bez nadziei polepszenia swego losu.

Wtedy to zamknąłem się w sobie, za zaoszczędzony grosz nakupiwszy książek, w czytaniu których i umysłowej pracy szukałem szczerego towarzystwa i zajęcia się, aby tylko nie pójść drogą mego proboszcza, który w zbydlęceniu topił swoją zgryzotę z prześladowania, w jakie był popadł od r. 1834. I znalazłem szczerą przyjaźń w księgach i naukę, a pociechę w modlitwie, zaś odetchnienie na łonie matki i kilku wiernych przyjaciół.

(C. d. n).

Lwów, aby ująć w żelazne ręce kierunek ratunkowy, położyć tamę powszechnemu rabunkowi.

Wprawdzie południowy pociąg niedzielny przywiózł znowu setki poparzonych i w strasznym stanie moralnym znajdujących się ofiar, których jęk i rozpacz przejmowały każdego na dworcu kolei Karola Ludwika dreszczem, — ale uroczystość jubileuszowa zaczeła się dopiero odbywać, a po niej tuż następowało pożegnanie pani Sembrich-Kochańskiej. A jeżeli ona wystąpiła na to pożegnanie jakby bóstwo z pagody chińskiej, okryta blaskiem brylantów, toć należało jej się i odpowiednie otoczenie, bo któżby jej podał godne ramię, ktoby jej z takim entuzyazmem całował ręce publicznie i oddawał cześć? Do tego wszystkiego potrzeba było wybranych i najcelniejszych kożuszków ze śmietanki towarzystwa. Przyzna więc każdy, że Stryj mógł sobie czekać wraz z całą grozą swej katastrofy, i wytrwać aż do poniedziałku południa.

Katastrofa ta wzruszyła całą Europę i jest nadzieja w Bogu, oraz miłosierdziu bliźnich, że miasto to nieszczęśliwe znajdzie pomoc, — powstanie z gruzów tak samo jak Stanisławów, Kołomyja i inne miasta. Należy się jednak obawiać i to słusznie, że pożar Stryja był tylko jakby prologiem do daleko większej i szerszych rozmiarów katastrofy, jeżeli do tego ognistego bukietu każdy dzień nieomal przynosi nam nową żagiew. Sieniawa, Lisko, Bojaniec, Dobrowlany, Żołynia, Tyśmienica, słowem, dziś gdy się ktoś we Lwowie budzi i wychodzi na miasto, chwyta za *Kuryer lwowski*, aby się dowiedzieć, gdzie dziś pożar na porządku dziennym. Jeżeli zaś tak dalej pójdzie, to te pożary następne wyrównają lub przeniosą katastrofę stryjską.

Pomimo to, nie słyszymy dotąd, aby wydane zostały od kompetentnych władz i dopilnowane w wykonaniu jakiekolwiek rozporządzenia pogotowia, które przecież chociażby w najlichszej mieścinie lub wiosce są jeszcze możebne. Jeżeli w pewnych czasach są obowiązkowe warty i inne ostrożności, to czyby w tak wyjątkowej epoce pożarów nie można również zorganizować pod rygorem kar obowiązkowego ratunku wzajemnego? Dotąd niestety o czemś podobnem nic nie wiadomo.

Nie możemy dziś pominąć i nie przypomnieć najżywotniejszych spraw, które z dziwną obojętnością przyjmowane były na sesyach sejmu krajowego i ginęły w koszach, iak n. p. rozmaite przedstawiane środki, zabezpieczające miasteczka i wsie od gwałtowności pożaru. Ileż razy nie pukał do Izby sejmowej stary weteran technolog Ciepanowski, którego wynalazek zabezpieczania słomianych dachów od pożaru wytrzymał wszelkie możebne próby. Pomimo to wnioski te rzucane były z dziwną obojętnością do kosza, i nikt nie usiłował wprowadzić je na seryo w życie.

W r. 1874 w jesieni odbywała się próba w ogrodzie p. Karola Kiselki z dachem gontowym i z sufitami z desek, pokrytych mięszaniną asfaltu krajowego czyli odpadków naftowych z wapnem i piaskiem. Na dachu takim i suficie spalono znaczną ilość smolnego drzewa wobec licznych kompetentnych osobistości, a o ile sobie przypominamy, był tam obecny ówczesny dyrektor budownictwa w Namiestnictwie p. Thomek, który się wyrażał jak inni z największem uznaniem dla tego wynalazku. Pomimo to, środka tego nie uważał nikt za godny bliższego zbadania i ocenienia.

Jeżeli gminy wiejskie i miasteczka nie są w możności pokrywania dachów blachą lub dachówką z cegły, to niechże będą zmuszone używać chociaż innych środków. Jeżeli zaś lekceważenie w tym kierunku potrwa dłużej, to pożary jak tegoroczne zamienią Galicyę w pustynię, a ludność będzie wędrowała tysiącami za morza.

Nakoniec zastanówmy się jeszcze nad tą bezkarnością w zarządzie gmin, jaka dzisiaj jest na porządku dziennym, gdzie urzęda pozostawione samopas i własnej woli, bez obawy jakiejkolwiek odpowiedzialności, stają się w pierwszym rzędzie przyczyną tych strasznych klęsk. Bo jeżeli nawet podawane są zażalenia najsłuszniejsze i najwiarygodniejsze, to w końcu nie odnoszą skutku, bo uważane są jako bezzasadne oszczerstwa. Otóż jeżeli gdzie, to w Galicyi byłoby bardzo do życzenia, aby ci, którym cesarz powierzył czuwanie nad dobrem kraju, kładli chociaż od czasu do czasu palce w tę ranę, aby się naocznie przekonać, co może kraj na nowo podnieść i uratować. Ale badanie takie powinno być wolne od wszelkich tryumfalnych bram, banderyj, huku moździerzy i bankietów, — bo po takich drogach jeżdżąc, nikt się o niczem nie dowie, a dekoracyjny blichtr i wszelkie inne pozory dobrobytu, karności, są niczem innem, jak tylko ironią.

Posłuchajmy naszego ludu, który w tej chwili, n. p. w Bobreckiem opowiada sobie, że cesarz, którego wielbi w duszy jako najlepszego z ojców, chodzi przebrany po wsiach i miasteczkach, aby się przekonać o rzeczywistej nędzy. Szanowni czytelnicy! to nie jest śmieszne, ale wskazówką chociaż tylko alegoryczną, w czem ten lud i gdzie szuka ratunku. Gdyby więc za tą wskazówką szli nasi wpływowi przewodnicy w kraju i chociaż nie pieszo, nie w przebraniu, ale nawet w wygodnych powozach pojawiali się od czasu do czasu w różnych miejscowościach kraju, i niespodzianie, z nienacka, badali stan administracyjny, to takie niespodzianki wydałyby jak najwięcej błogie owoce. Chwytanie na gorącym uczynku niepoprawnych, lekceważących nareszcie ustawy i rozporządzenia władz wyższych, suspendowanie natychmiastowe i t. d. — oto są środki, któreby jedynie u nas jeszcze karność przywrócić mogły.

Oto jest głos, który winien być zaniesiony do stóp Monarchy!

W obec pożarów.

W Stanisławowie, wydał prezydent miasta Dr. Kamiński rozporządzenie, co obywatele i mieszkańcy przestrzegać winni, wobec panujących pożarów. Rozporządzenie to oparte na gruntownej znajomości stosunków miejskich przedstawia prawie wyczerpująco, jakie są główne przyczyny pożarów po miastach Galicyi.

Byłoby więc do życzenia, aby wszystkie magistraty i zarządy gminne, wprowadziły u siebie w życie to rozporządzenie i dla tego takowe w całej osnowie podajemy.

„Rokrocznie ogłasza tutejszy magistrat z nadejściem pory wiosennej przypomnienie względem przestrzegania przepisów o policyi ogniowej wydanych, lecz skutek tych ogłoszeń dotąd był bardzo wątpliwy. Tam gdzie nie ma poczucia obowiązków obywatelskich, tam trudno przyprowadzić do ładu gminę, gdyż zwierzchność gminna nie ma sił, aby do każdego domu i do kazdego zakątka zaglądnąć i czujność tę nieprzerwanie powtarzać. *Każdy obywatel jest najlepszym strażakiem* od wypadków ogniowych.

Może też okropna katastrofa, która zniszczyła miasto Stryj obudzi uspione u przeważnej części naszego miejskiego obywatelstwa poczucie obywatelskie do przestrzegania przepisów ogniowych.

Streścimy więc główniejsze przepisy policyi ogniowej i budowniczej:

1. Po strychach bez wyraźnego pozwolenia nie mogą być mieszkania z palowiskami. Gdzie dotąd bez pozwolenia istnieją, mają być do dni 14 od niniejszego ogłoszenia zniesione pod karą 5 zł. za każden dzień pozostawienia strychowych pomieszkań po za wyznaczony termin.

2. Strychy mają być uprzątnięte ze wszelkich palnych rupieci, ze słomy, siana, drzewa itd., pod tym samym co wyżej rygorem i w tym samym czasie.

3. Wstyd zaiste dla miasta, że po tak pamiętnej klęsce pożarnej z r. 1868 jeszcze jest spora liczba domów, które nie mają zgoła kominów murowanych lub mają kominy walące się lub wadliwe z wpuszczonymi do kominów drewnianymi belkami.

Dla wszystkich realności bez kominów, lub mających kominy walące się, nadpsute lub wadliwe, wyznaczam nieprzekraczalny termin do końca sierpnia 1886. Po upływie tego terminu realności bez kominów murowanych, z walącymi się lub wadliwymi kominami będą pomimo zachowania wszelkich innych warunków do zamieszkalności — z urzędu zamknięte i z mieszkańców uprzątnięte.

4. Wszystkie dymniki leżące mają być w tym samym czasie i pod temi samemi karami co w ustępie 1. całkiem zniesione.

5. Zakazuje się bednarzom podczas silnych wiatrów lub po miejscach grożących pożarem wypalanie beczek pod zagr. kary 5 zł.

6. Zakazuje się bezwzględnie nietylko rzeźnikom lecz wszystkim mieszkańcom osmalanie szczeciny na nierogaciźnie pod karą 5 zł.

7. Zakazuje się smarzenie powideł koło domów pod karą 5. zł. Smarzenie powideł odbywać się może tylko na miejscach przez magistrat wyznaczonych.

8. Po stajniach, szopach, strychach i innych miejscach napełnionych rzeczami łatwo zażegliwemi, mianowicie po składach nafty, spirytusów i t. p. nie wolno palić ani tytoniu, ani cygar, ani cygaret pod karą 5 zł.

9. Stolarze, tokarze, stelmachy, bednarze, parkietnicy i w ogóle ci wszyscy rzemieślnicy, którzy się przeróbką drzewa trudnią, mają drzewo, trzaski i wióry z warstatów uprzątać i codziennie po miejscach od ognia bezpiecznych składać pod grzywną 5 zł.

10. Zakazuje się chodzić z gołem światłem po strychach piwnicach, stajniach, składach na siano i drzewo wyznaczonych, po sklepach z naftą, w ogóle po miejscach, gdzie materjały łatwo zapalne przechowywane bywają, lub składać tamże popiół gorący z zarzewiem pod karą 5 zł.

11. Każdy gospodarz obowiązany czuwać, aby kominy, piece i w ogóle wszystkie ogniska w terminach należytych oczyszczano i przeciw niebezpieczeństwu ognia zaopatrywano.

12. Gospodarze obowiązani podać do magistratu tych kominiarzy, którzy rzadko kiedy albo niedbale kominy wycierają i roboty swojej prawidłowo nie wykonują.

13. Kominiarze zaś obowiązani wykazywać magistratowi te osoby, które wzbraniają wycierania swoich pieców i kominów w należytym czasie, niemniej te piece i kominy, które są nadpsute, lub z którychby niebezpieczeństwo ognia wyniknąć mogło.

14. Każdy właściciel lub najemca domu obowiązany mieć w pogotowiu w miejscu przystępnem beczkę napełnioną wodą, bez względu czy ma studnię na dziedzińcu lub nie, zaopatrzyć się w drabinę do wysokości budynków zastosowaną i na dachu osadzoną, w kilka czerpaków, konewek i haków.

Do wykonania tego zarządzenia wyznacza się termin po koniec maja 1886 r.

Po tym terminie ulegnie każdy, który się do tego przepisu nie zastosuje, grzywnie 5 zł., która się tak długo ponawiać będzie, pokąd się temu zarządzeniu nie stanie zadość.

15. Właściciele fiakrów mają porządkiem stójkowym oznaczone dnie stójek, w których w czasie pożaru konie swoje na każde zawezwanie do rozporządzenia magistratu oddać mają. Kto się nie stawi, lub z placu ucieka, gdy na niego kolej stójkowa przypada, będzie karanym grzywna 5 zł., a w razie uchylenia się przez dwa razy, magistrat wniesie na odjęcie mu koncesyi.

16. Kto zapalną eksplodującą naftę sprzedaje, ulegnie karze ustawami przepisanej.

Magistrat zarządzi od czasu do czasu próby aerometrem co do zapalności nafty. Zapasy zapalnej nafty będą skonfiskowane — a winny do odpowiedzialności pociągnięty.

17. Wszystkie składy drzewa opałowego jakoteż materyałowego, na które nie udzielono ze strony magistratu pozwolenia, mają być do końca maja 1886 r. uprzątnięte pod karą 20 zł. i pod zagrożeniem uprzątnięcia na koszt właściciela przez organa policyjne.

18. Wszystkie zakłady fabryczne mające palowiska, jak piece piekarskie, fabryki mazi, świec, czernidła, tłuszczów, destylarnie i t. p. nieposiadające koncesyi, mają zastanowić swoje czynności z dniem niniejszego ogłoszenia pod karą 5 złr. Zakłady te z urzędu zostaną zamknięte.

Zakłady posiadające koncesyę — mają przedłożyć dotyczącą koncesyę w odpisie najdalej do 15go maja 1886 pod karą 5 zł.

Magistrat zarządzi zbadanie, czyli te zakłady pod względem policyi ogniowej i budowniczej nie podlegają żadnym zarzutom i według wyniku tego zbadania zarządzi odpowiedne kroki.

Tego już za wiele.

Znana klika postrącanych aniołów z fundacyi Skarbkowskiej, nie przestaje w używaniu godnych siebie środków, aby obecną kuratoryę stawiać w ujemnem świetle wobec kraju. — Nieustanne kucie oszczerstw i fałszów, oto jest broń zaczepna pod protektoratem jaśnie wielmożnego *Przeglądu*, a zapewne też mecenasów i protektorów tegoż. A kto ma takiego redaktora jak p. Ludwik Masłowski, ten gotów się nawet puszczać na takie bystre i wonne wody, jak nurty Pełtwi.

Oto w Nrze *Przeglądu* z dnia 6. b: m. czytamy następującą sensacyjną korespondencyę:

Z Mikołajowa nam donoszą pod datą 4. b. m.

„W miasteczku naszem ogromne panuje wzburzenie umysłów z powodu awantury, która wczorajszej nocy miała miejsce w zakładzie skarbkowskim.

O godzinie jedenastej w nocy, kiedy już cała służba zakładu spała, zerwała się starsza młodzież ze swych łóżek i uzbrojona w kije udała się do dyrektora i ochmistrza. Podobno surowe a niezawsze usprawiedliwione kary były powodem tego buntu. Najgorszem bowiem jest to, że ludzie stojący dziś na czele zakładu, nie dopisali nadziejom, jakie w nich pokładał kurator. Sądził on zapewne, że posiadają oni talent pedagogiczny. Tymczasem fakta świadczą, że mogą być może wszystkiem, czem kto chce, ale pedagogami nie są. — Czem się skończyła awantura nie wiem napewne, bo tyle obiega po naszem miasteczku pogłosek, że trudno dojść, która jest prawdziwą. W każdym razie byłoby dobrze, gdyby Wydział krajowy ściślej kontrolował zakład tutejszy".

A na kilka godzin przed wyjściem tego Nru *Przeglądu*, znani polityczni przyjaciele tych powypędzanych z drohowyskiego raju aniołów, rozpuszczali po kawiarniach, cukierniach i innych miejscach publicznych straszne wieści, że wszyscy wychowańcy w zakładzie drohowyzkim, niemogąc znieść dłużej mo-

ralnych i cielesnych katuszy, formalnych tortur i znęcania się nad nimi przez zarząd, podnieśli bunt, uzbroili się w drągi, kije, a nawet „sztylety i rewolwery“, napadli w nocy zbrojno na dyrektora i ochmistrza i ci ledwo uszli z życiem, że wychowańcy postanowili zapalić cały zakład zapomocą nafty i t. d., i t. d., słowem, obraz komuny paryskiej w Drohowyżu. A gdy za kilka godzin ukazał się Nr. *Przeglądu* z powyższą korespondencyą, było niestety wielu takich, którzy tym bredniom uwierzyli i hajże kolportować ją po całym Lwowie.

Przypatrzmy się teraz prawdziwej stronie medalu, jak ten rzekomy bunt wygląda.

Oto jak zwykle, dyrekcya zakładu zezwoliła pewnej liczbie wychowańców, mianowicie starszych, udania się na święta wielkanocne do Lwowa. Faktem jest, że jak tylko przybyli, zaczęli się koło nich kręcić i zajmować nimi jacyś serdeczni przyjaciele, której to troskliwości i przyjaźni, doznawali szczególnie ci wychowańcy, którzy z końcem roku bieżą ego w lipcu opuszczają zakład. Pojono ich, przyjmowano, częstowano cygarami i badano o najmniejsze szczegóły w zakładzie, co do postępowania z nimi, od czasu, gdy z Drohowyża zmuszony był ustąpić p. Starkel i p. ochmistrz Jamrógiewicz (obydwaj jak wiadomo obecnie przy *Gazecie narodowej*). A gdy się dowiedziano, że wychowańcy ujęci są w karby, że zarząd walczy całą siłą przeciw wszelkiej dawniejszej samowoli, przyjaciele nie taili bynajmniej swego oburzenia wobec wychowańców, wmawiając w nich, że to jest despotyzm — „torturowanie młodzieży“ — straszne nadużycia, a jeżeli wychowańcy będą mieli odwagę sami się temu „despotyzmowi“ oprzeć stanowczo, to opinia publiczna ich poprze i znajdą opiekę nawet w sferach rządowych.

Należy dać chociaż małą próbkę tych tortur. I tak: każdy wychowaniec w zakładzie, obowiązany jest, mianowicie ci, którzy pracują w warstatach, umyć się przed kolacyą, a przed pójściem na spoczynek każdy ma oczyścić swe ubranie, a mianowicie buty i postawić takowe przy swem łóżku. Otóż gdy się temu przepisowi nieustannie sprzeciwiano i napomnienia nie pomagały, ochmistrz, który sprawuje obowiązki obecnie prowizorycznie, podczas przeglądu sal sypialnych w nocy, jeżeli znalazł buty nie czyszczone przy łóżku, budził właściciela tychże, ten zmuszony był na kurytarzu oczyścić buty, i wtenczas dopiero wolno mu było położyć się i spać bez przeszkody. Tego rodzaju „tortury“ odbywają się i w innym kierunku, szczególniej zastósowane do tych, którzy wskutek niedbałego pierwotnego wychowania domowego podlegają pewnym słabościom i było rzeczą zwykłą, że za poprzedniego ochmistrza gniły pod nimi sienniki. Nieoględni i łatwowierni wychowańcy, gdy im we Lwowie naprzód, na wszelki przypadek, przyobiecano nawet pracę po warstatach kolejowych i innych, postanowili usłuchać tych rad niecnemych i za powrotem do Drohowyża urządzić bunt. A gdy nagadali kolegom, jaką to będą mieli opiekę i obronę za ten bunt, propaganda szła szybko. Ochmistrzowi zaczęto stawiać coraz silniejszy opór i lekceważyć go, a gdy ten najkrnąbrniejszych i najniemoralniejszych w liczbie 3. zmuszony był podać według regulaminu zakładu do kary cielesnej, bunt dojrzał do wybuchu. Gdy wychowańcy wychodzili z kaplicy po mszy św. ujrzawszy ochmistrza, zaczęli świstać. Dyrekcya za ten wybryk wybrała 20 głównych winowajców i kazała im za karę stać w szeregu nieruchomo przez godzinę. Taka „tortura“ — oburzyła ich jeszcze więcej, a więc uchwalili przyjąć postawę groźną i gdy w nocy około godziny 11. wszyscy byli pogrążeni we śnie w zakładzie, nagle usłyszano piekielną krzyki, gwizdanie, beczenie etc., słowem, w najświetniejszem wydaniu kocią muzykę. Gdy dyrekcya i kapelani przybyli, ujrzeli kilkudziesięciu wychowańców na kurytarzu, w części uzbrojonych w kije, drewna i t. p. broń, oblegających drzwi do pomieszkania ochmistrza. W innych salach, do których były drzwi pootwierane, wyglądali tylko młodsi wychowańcy, którzy się co tylko porywali z łóżek i naturalnie, jako dzieciaki, rozradowani byli bohaterstwem starszych kolegów.

Wprawdzie starszyzna buntu chciała się z początku stawiać hardo, ale wobec dyrekcyi, która się bynajmniej tych krzyków i pogróżek nie ulękła, zaczęli zmykać do sal i chować się, gdzie który mógł, i tylko śmielszej natury wołali: „Precz z ochmistrzem nie załując mu epitetów i: — „oddajcie nam Jamrógiewicza! (odpędzonego ochmistrza).

Ten okrzyk jest jednym dowodem więcej, kto ten bunt przygotował we Lwowie. Niebawem zaczęli się kłaść do łóżek i zapanowała cisza, a zarząd sprowadzał jeszcze do sal rozmaitych dezerterów, których opuściła odwaga i pochowali się po różnych kątach. Dyrekcya wobec tego buntu zachowała się jak najzupełniej taktownie, tem więcej, że z krzyków samych powzięła świadomość, kto tę biedną młodzież w tak ohydny sposób prowokował. Gdy się to stało w nocy, następnego dnia o godzinie 10. we Lwowie już kolportowano odpowiednio ubarwione wieści, a p. Masłowski bez bliższego zbadania sprawy zamieścił powyższą korespondencyę. Zarzuca on, że w zarządzie zakładu nie ma odpowiednio „pedagogicznie wykształconych“ osobistości, — naturalnie takich w pojęciu „Przeglądu“ jakimi byli p. Juliusz Starkel, dyrektor, p. Jamrógiewicz, ochmistrz a szczególniej p. Westfalewicz, który na długie czasy pozostanie pamiętny w dziejach zakładu, jako nauczyciel „gimnastyki.“ No — że kuratorya dołoży wszelkich starań, aby tego rodzaju siły pedagogicznie wykształcone nie zapanowały znowu w Drohowyżu, o tem może być „*Przegląd*“ przekonany.

Opuściliśmy drugą część korespondencyi z Mikołajowa, która jest tylko jednym dowodem więcej, że klika upadłych aniołów znalazłszy godne siebie poparcie w *Przeglądzie* i panu Masłowskim, rzuca więcej jak płaskie podejrzenia i oszczerstwa, biorąc do nich temat z własnego rabunku dopełnianego na sierotach i starcach. Jesteśmy przekonani, że te czasy minęły bezpowrotnie.

Obecnie przeprowadza kuratorya szczegółowe śledztwo, co do niekarności czyli wrzekomego buntu. Jak na tem wyjdą prowokatorowie lwowscy i mikołajowscy, o tem niedługo się przekonamy.

KORESPONDENCYE.

Monachium 4. Maja 1886.

Łatwo pastwić się nad pobitym narodem, któremu los zmienny broń z ręki wytrącił, łatwo na bezbronny naród rzucać brutalne obelgi i napaści, trudniejsza jednak rzecz pokonać go bronią duszy, bronią inteligencyi. Talentu nie wskrzesi siła bagnetów, a że tak jest, niech dowiodą dzisiejsze Niemcy, gdzie wraz z wzrostem polityki gwałtu, grabieży i rozboju, z wzrostem niemoralnej polityki, upadają talenta i obniża się moralny poziom narodu.

Miał racyę Henryk VIII mówiąc: z siedmiu parobków zrobię siedmiu Bis..... przepraszam, siedmiu ministrów, ale z siedmiu ministrów nie zrobię jednego Holbeina.

Cały świat mówił do niedawna i mówi do dziś dnia o bawarskiej stolicy jako o jednem z centrów europejskiego malarstwa; kto zna tutejsze zbiory, kto przypatrzył się z jaką forsą finansową król Ludwik I. położył fundamenta sztuce, kto widział prace, jakie w ostatnich czasach wydała tutejsza akademia, ten ani na chwilę o tem wątpić nie będzie. Jako miasto akademickie, jako zresztą najwięcej ożywione targowisko dzieł sztuki, odgrywa Monachium rolę pierwszorzędną w Europie. Czy to zasługa Niemców? Czy to talent czy geniusz niemiecki postawił Monachium na tej wyżynie? Któż są tutejsi artyści słynni w całej Europie? Przypatrzmy się: Aleksander Wagner węgier, Lietzen Mayer węgier, Brandt polak, Jacobides grek, Max czech, oto pierwszorzędne gwiazdy monachijskie. Kogóż wydała akademia tutejsza. Oto Matejkę polaka, Munkaczego węgra, Benczura węgra, Brozika czecha, jednem słowem niemiecka ta akademia służy przedewszystkiem nie niemieckim sprawom, boć przecież znanego Pilatego z piętnem szpiegostwa, za europejskiego artystę uważać nie można. Wobec małego procentu zdolnych uczniów niemców, wobec dominującej liczby cudzoziemców, wobec lichoty niemieckich produktów, jedynym wnioskiem, jaki wysnuć można, jest, że na tym polu gdzie bagnety pruskie ani też brutalne i gburowate koncepty Bismarka nie pomódz nie mogą, pokazuje się cała słabość niemieckiego talentu i niemieckiej duszy.

Artyści nasi odgrywają w tutejszym świecie sztuki niezaprzeczenie jeśli nie pierwszą to pierwszorzędną rolę. W tutejszych salonach sztuki króluje mistrz Józef Brandt, którego „jarmark w Balcie“ (w salonie Weinera) „Strzelanie do celu“ (w salonie Kaesera) zaliczają tutejsi znawcy do arcydzieł i pereł sztuki monachijskiej. Z pewną dumą patrzy polak na te znakomite dzieła, pełne słońca, ruchu, życia, talentu, podpisane po polsku „Józef Brandt z Warszawy“.

Obecnie pracuje Józef Brandt nad średnich rozmiarów obrazem, przedstawiającym jarmark zeszłego wieku. Wszystkie zalety, jakie mistrz nasz posiada, spotykamy na tym obrazie.

Ciepły słoneczny koloryt, rutyna malarska, subtelność rysunku, znakomita expresyja wyrazów, subtelne schwytanie finezyi natury, składa się na mistrzowską całość. Nie wiemy jakie ma przeznaczenie ten obraz, nie wątpimy jednak, że gdziekolwiek on wystawionym zostanie, zrobi niezmierne wrażenie. Niepoślednie miejsce zajmuje tu w handlu artystycznym Kowalski. Obrazy jego odznaczają się głębokim tonem i nader subtelnem poczuciem pejzażu, żal nam tylko, że pan Kowalski powtarza się ciągle niemal do znudzenia. Każdy jego obraz przedstawia śnieg, a na śniegu trójkę koni, z tyłu las lub parę sosen. Być może, że tak chcą kunsthändlerzy; czy jednak to być winno jedyną dążnością artysty? A zaiste szkoda, bo Kowalski pracując więcej dla sztuki, mógłby stanąć obok Adama, Kossaka i Brandta.

Jednym z najzdolniejszych reprezentantów młodej generacyi artystów jest p. Tadeusz Popiel, znany twórca „Wejścia żydów do niewoli babilońskiej“, obrazu, któremu nawet tak dla naszej sztuki niepobłażający Ranzoni pochwał nie szczędził. W pracowni jego spotykamy się z kilku pracami wielkich rozmiarów, z któremi liczyć się będzie musiała nasza sztuka i krytyka.

Imponującym pomysłem, pełnem talentu wykonaniem, uderza widza obraz zatytułowany „Pokuta“. Któż nie pamięta tragicznej sceny z dramatu Gutzkowa, gdy Uriel Acosta odwołuje przed tłumem swe dzieło, które prawda i przekonanie natchnęły, gdy czytając odwołanie, zemdlony upada. Tę scenę pełną grozy maluje artysta. Uriel leży na schodach z pobladłą twarzą w koszuli. Nad głową jego straszny wyrok rabinów. Przez ciało jego z wyrazem bezecnej dumy i iście idyotycznego tryumfu przechodzi jakiś przemądry rabbi. Patrzy z pogardą na leżącego przeciwnika, z tyłu czerń żydowska, wierząca w Boga i Lewiatana. Wrażenie, jakie obraz zostawia olbrzymie, zostaje na zawsze w duszy.

Ale nie tylko dramat potrafi malować p. Popiel, świadczy o tem prześliczna pełna rzewności i tęsknoty kreacya, po której widać, że wyjął ją artysta z głębi duszy i rzucił na płótno. Kilkumetrowe płótno przedstawia szpital powstańczy; kilku rannych walczy ze śmiercią. Rubaszny moskiewski żołnierz z bagnetem w ręku stoi na ostatnim planie, patrząc, aby nawet ci umierający nie uciekli, aby ich zachować i uratować dla.... może dla stryczka. W pośrodku obrazu stoi szarytka; założyła białe rączki jakby do modlitwy i tęsknemi oczy patrzy przez okno w dal, jakby od Boga pomocy prosiła. Jakkolwiek pomysł ten nie da się konkretnie określić i jasno zdefiniować, obraz robi niedychanie miłe wrażenie. Pełno szkiców, jakiemi przepełniona jest pracownia tego tyle obiecującego artysty, świadczy o jego artystycznych siłach i twórczości. Są to ziarna. — Daj Boże, aby z nich był plon wielki i obfity, a zdolny artysta niech nie zapomina, że wiele ma się prawo żądać od tego, komu wiele dano.

Nie wątpię, że zaciekawią czytelników *Strażnicy* dalsze sprawozdania z tutejszego ruchu artystycznego. Za dużo jest jednak materyału na jedną pogadankę; przerywamy ją za tem na dzisiaj, aby nie długo pomówić o innych naszych artystach: Buchbinderze, Rosenie, Streicie, Kozakiewiczu, Gronholskim i t. d.

A. B. M.

KRONIKA.

Do kroniki świąt wielkanocnych, mamy do zanotowania w b. r. nader ważne, a wielce pocieszające objawy, które nie tylko nam, ale każdemu z patrzących na nie sprawiły wiele radości.

Oto w drugie święto jak corocznie, zebrał się w obszernej sali „Gwiazdy“ nader liczny zastęp członków tegoż towarzystwa, dla podzielenia się święconem jajem. Na tę wzniosłą a odwieczną uroczystość, przybyło również poważne grono zaproszonych osobistości, jak prezydent miasta Wacław Dąbrowski, hr. Henryk Skarbek kurator fundacyi skarbkowskiej, ojciec „Gwiazdy“ Mieczysław Darowski, kilku członków Rady miasta i inni. Nastrój był dziwnie uroczysty; patrząc na liczną rzeszę młodzieży rękodzielniczej od młota, pilnika, hebla, szydła, igły i innych zajęć i porównując jej objaw teraźniejszy, chociażby z kilkunastu latami wstecz, na ten widok jak to uczciwa praca połączona z oświatą dobrze zastosowaną, dziwnie uszlachetnia człowieka, musiało patrzącemu serce żywiej zabić, a dusza dospiewać: „Jeszcze nie zginęła!“...

Ktoś obcy, gdyby się w tej chwili pojawił w sali, a mianowicie jakiś „Kulturträger“ z Zachodu do galicyjskiego „Bärenlandu“, zdziwiłby się okrutnie, patrząc na tę legią z wszelkim piętnem inteligencyi i dobrego wychowania, zasiadającą tak swobodnie za stołami lub ruszającą się przy podziale jajka święconego, — że to jest młodzież rękodzielnicza i jej pracodawcy. Tam na tym ucywilizowanym Zachodzie, gdzie krocie, miliony rękodzielników poczytują sobie za zaszczyt dobrobytu nową czystą płócienną bluzę (od wielkiego święta), to u nas pomimo biedy rzeczywistnej i trudnych warunków w jakich się nasz rękodzielnik obraca, niemożna w nim dopatrzyć różnicy, nietylko pod względem ubrania, ale i wszelkich innych form towarzyskich,

wrzekomo wyższej inteligencyi i stanom właściwej. A cóżby to było z naszego rękodzielnika, gdyby jego warunki pracy były takie, jak w niektórych bogatych krajach zachodnich? Mamy jeszcze co prawda wielką pracę przed sobą, ale że rękodzielnik nasz postępuje znacznie i szybko w uszlachetnieniu, to się zaprzeczyć nieda.

Prezes towarzystwa „Gwiazdy“ p. Franciszek Głodziński, wzniósł pierwszy toast na cześć wielce szanownego prezydenta miasta Wacława Dąbrowskiego. Nieustające „niech żyje!“ i grzmoty oklasków, świadczyły o serdeczności dla prezydenta i o uznaniu, jakie w sferach tych posiada. Pan prezydent odpowiedział jak zwykle po swojemu krótko i węzłowato, ale również serdecznie i szczerze, to też ze wszystkich stron się ciśnięto, aby uścisnąć dłoń jego. Następny toast wzniósł na życzenie prezesa „Gwiazdy“ redaktor *„Strażnicy polskiej“* Jan Gniewosz, na cześć hr. Henryka Skarbka, który pojmując dobrze łączność zakładu w Drohowyżu i towarzystwa „Gwiazdy“, nie zaniedbuje żadnej sposobności, aby się obznajomić ze wszelkimi stosunkami naszego rękodzielnictwa. To też towarzystwo „Gwiazdy“ oceniając godnie to zbliżenie się spadkobiercy szlachetnego rodu, a jednego z najstarszych bo od 8miu wieków z górą znanego w dziejach, gdy towarzystwu potrzeba przewodników, troszczących się o jego dalszy rozwój i ludzi rzetelnej pracy, wybrało prezydenta Wacława Dąbrowskiego i hr. Skarbka na swych kuratorów. I znowu gromkie „niech żyje!“ i długotrwałe frenetyczne oklaski, jakiemi przyjęto ten wzniesiony toast, niechaj posłużą naszej „starszej braci“ za dowód, że rękodzielnikom naszym obcą jest kastowa nienawiść, że umią uszanować stare rody, jeżeli ich spadkobiercy umią pielęgnować: szlachetność, uczciwość i cnoty narodowe.

Zapewne wykonawca woli swego przodka, a znakomitego obywatela fundatora, nie spodziewał się, że rękodzielnictwo lwowskie, tak sympatycznie jest dla niego usposobione i jak jest wdzięczne każdemu, kto się doń zbliża z ciepłem sercem, gdyż wzruszenie u niego było widocznem, a łza która błysła w oku i płynęła po licu, jeszcze więcej zbliżyła ku niemu serca dzielnych pracowników.

Po tym toaście nastąpiła prawdziwa niespodzianka; zabrał bowiem głos członek delegacyi ruskiego stowarzyszenia rękodzielników „Zorja“, która przybyła, aby z braćmi Lachami podzielić się po starym zwyczaju jajem święconem. Zaiste towarzystwo „Gwiazdy“ radośnie powitało tak miłych gości, podając im bratnią dłoń.

Pan Skorodyński, sekretarz towarzystwa „Zorja“, powitał „Gwiazdę“ słowami: „Chrystos woskres!“ — „Woistynno woskres!“ — odpowiedzieli Lachy, a mowca dźwięcznym głosem układał wieniec całości z tak pięknych kwiatów życzenia, chociaż nie odstąpił ani na krok od odrębności narodowej ruskiej, że lacka rzesza rękodzielników godziła się jak jeden na te myśli zbawienne dla obu szczepów, gdyż tylko w spólnej pracy przy zrozumieniu obopólnego dobra, może zajaśnieć zorza przyszłości. A gdy zakończył swe przemówienie znowu hasłem: „Chrystos woskres!“ Polacy rękodzielnicy rzucali się w ramiona ruskim druhom pracy.

Dalsze toasty, ożywione chórami pieśni polskich i ruskich, zakończyły ten wzajemny a tak pożądany sojusz; a nie zapomnijmy, że przybyła tam delegacya rękodzielników towarzystwa „Skały“, gdzie również duch jedności wielce jest ożywiony.

Naturalnie, że należało oddać natychmiast pięknem za nadobne, to też bezzwłoki delegaci „Gwiazdy“ i „Skały“ udali się na ulicę Krakowską do lokalu towarzystwa „Zorji“, wprawdzie biednego jeszcze, bo mieszczącego się dotychczas w jednej izbie, ale ożywionego szlachetnym młodzieńczym zapałem i silną wolą działalności. Delegacye nasze powitane były również serdecznie.

Po podziale jajkiem, pierwszy przemówił pan Bazyli Nahirny inżynier i architekta, witając po raz pierwszy na tem miejscu braci Lachów, nie zapominając bynajmniej doniosłości tego połączenia i zgody obopólnej.

Zaznaczamy, że w całem zgromadzeniu nie było ani jednego moskalofila, czyli tak zwanego „kacapa“, gdyż ci apostołowie mają stanowczo wstęp wzbroniony do towarzystwa „Zorja“. Tam się kształcą i łączą Rusini, a nie inne żywioły.

Ciekawe były dalsze pogawędki i toasty obopólne, przy których mówiono sobie nawet bez ogródki prawdę, ale prawda ta wiązała silniej jeszcze ogniwa łańcucha tych ludzi twardej pracy. Zaznaczamy jeszcze raz, że takiego zbliżenia nie było jeszcze pomiędzy Polakami i Rusinami we Lwowie i w tych warstwach społecznych. To też ani chwili nie zapoznajemy doniosłości tego zbratania, jeżeli obydwie strony zamienią w czyn wypowiedziane warunki zgody przy wznoszeniu toastów, że ani Polak Rusinowi, ani Rusin Polakowi, nie będzie niczego zazdrościł i odmawiał tego, coby mu samemu było niemiłem. A więc: „Szczęść Boże! — mir wam Bratia!“

Tarnów 3. maja. (*Ks. Kopyciński*) wydał następującą odezwę: „Szanowni Wyborcy okręgu Tarnów, Pilzno, Dąbrowa! Ponieważ mimo złożenia mandatu poselskiego do Rady państwa i oświadczenia, że o tenże mandat ponownie się nie ubiegam, nadto ponieważ mimo to, żem nietylko ani bezpośrednio, ani pośrednio na wyborców nie wpływał, aby mnie wybierali, owszem żem wprost przed wyborami oświadczył, iż mandatu nie przyjmę, — szanowni wyborcy wszystkich trzech powiatów na dniu 14. kwietnia b. r. ponownie obdarzyli mnie swem zaufaniem składając w moje ręce mandat poselski: oświadczam obecnie, iż po gruntownem zastanowieniu się i zasięgnięciu rady tych, których o to radzić się wypadało *mandat poselski* z okręgu wyborczego Tarnów, Pilzno, Dąbrowa *przyjmuję i obowiązki posła sprawować będę aby nie narażać wyborców i kraju na koszta, a powiaty na nowe walki.“*

Bazyli Drohomirecki — niedoszły gimnazysta, znany naszym czytelnikom z wielokrotnych aresztowań za propagandę rosyjską w Galicyi, przesiedlił się do Rosyi, gdzie go zamianowano „urzędnikiem do szczególnych poruczeń“ i wydelegowano do Kijowa. Jak się z pewnego źródła dowiadujemy, tenże Bazyli Drohomirecki „śledzi“ w Kijowie „ukrainofilów“ za nędznych 50 czy 60 rubli. Jego relacye przychodzą i do galicyjskich organów moskalofilskich, i służą im za materyał do denuncyacyj na Rusinów kijowskich. Biedna ta Rosya z takimi galicyjskimi podarunkami. *(Z Diła).*

W zeszłym tygodniu odebrała redakcya nasza z Kijowa, z nader pewnego źródła powiadomienie, że ten sam Bazyli Drohomirecki, miał w ostatnich dniach przed świętami przejechać granicę, wraz z czterema innymi agentami, otrzymawszy od generał-gubernatora szczególne poruczenie, co do propagandy w Galicyi. *Redakcya.*

Piszą z Cahors. „Jeden z najpoczciwszych Polaków na wygnaniu, opatrzony św. Sakramentami, oddał duszę Panu Bogu w d. 2. kwietnia br. w mieście Cahors, departamencie Lot. Był nim śp. Feliks Sulimowski, syn Medarda i Wiktoryi z Hryniewiczów, urodzony 25. czerwca 1811 r. w Budziszkach, obwodzie Kalwaryjskim, województwie Augustowskiem. Ukończywszy szkoły wojewódzkie w 1830 r., zaciągnął się, jako ochotnik do pułku grenadjerów; w tym pułku odbył całą kampanię, podczas walki o niepodległość narodową; w nim postąpił z prostego szeregowca na podoficera i podchorążego; stan jego służby potwierdza, że pola Okuniewskie, Wawerskie, Grochowskie, Liwskie, Jędrzejowskie, Suchej, Paprotni i Warszawy były świadkami jego waleczności. Wkroczenie do Prus korpusu jenerała Rybińskiego nie dozwoliło zmarłemu być mianowanym na stopień oficera, na który zaraz po szturmie warszawskim go przedstawiono; pozostał więc jako nieodstępny towarzysz naszych żołnierzy w Prusiech i tam opierał się, aż do lipca 1832 r. przemocy Prusaków, którzy naszą waleczną wiarę w ręce Moskali wydać chcieli. Przywieziony okrętem do Francyi, na wyspę Aix, a ztamtąd na wyspę Oleron, otrzymał nareszcie wraz z pięciuset innymi podoficerami i żołnierzami, zezwolenie rządu francuskiego do udania się do zakładu polskiego w Bourges, skąd przeniesionym został do Cahors w lipcu 1833 r. Podczas wygnania, zatrudniał się, przez kilka lat zecerstwem, w mieście obwodowem Figeac, a później w Cahors, gdzie więcej niż w poprzedniem znajdowało się drukarń; tam był pojął za żonę, wdowę po swym przyjacielu, towarzyszu tułactwa w Prusiech i na wyspie Aix, Hipolicie Głodziejskim, byłym uczniu uniwersytetu warszawskiego i podoficerze artyleryi; wziął z nią do siebie dwie córeczki zmarłego i wychowywał je jak własne dzieci; jeden z przybranych jego wnuków, został w przyszłym roku do szkoły wojskowej w St. Cyr przyjętym. Na kilka lat przed śmiercią, stargane siły walką i pracą nie dozwoliły mu dłużej na chleb zarabiać; musiał porzucić drukarnię w której był protem; częste krwotoki i puchlina nóg i kolan na którą, stojąc ciągle dniami i po nocach przy ramach ze czcionkami, często był zapadał, przyspieszyły skon zmarłego. Jak był poważanym i żałowanym od wszystkich, Polaków i Francuzów, świadczył to nadzwyczaj liczny orszak ludzi wszelkiego stanu, urzędników, dziennikarzy, właścicieli zakładów typograficznych i współpracowników drukarskich, którzy go na miejsce ostatniego spoczynku odprowadzili.

Żegnamy cię, kochany towarzyszu broni w powstaniu Listopadowem! Wkrótce i na nas kolej nadejdzie stanąć u stóp Przedwiecznego, aby się wstawić z Tobą do Jego Wszechmocy za naszą nieszczęsną Polską, gdyż, jak na Grochowskich, Ostrołęckich i Warszawskich polach, tak i tam po za światy, naszem hasłem będzie: Bóg i Ojczyzna!

Polacy na obczyźnie. W dzienniku francuskim *L' Avenir Militaire* z dnia 6. kwietnia r. b. czytamy co następuje:

„Pomiędzy nowemi publikacyami filantropijnemi, spostrzegliśmy małą broszurkę zatytułowaną: „Projekt ustawy emerytalnej dla oficerów rezerwy i armii terytoryalnej“.

Autorem tej broszury jest p. Koszarski, porucznik 93. pułku piechoty, członek stowarzyszenia oficerów, który wydał już wiele dzieł traktujących zawsze kwestye poważne i żywotne, będące na porządku dziennym.

Publikacya na którą zwracamy oczy publiczności, ma na celu, bezwątpienia propagowanie myśli założenia Towarzystwa kasy emerytalnej dla oficerów rezerwy i armii terytoryalnej, świeżo założonej pod prezydencyą p. podpułkownika Dally z siedzibą w Paryżu 12, ulica Grange-Bateliére.

Aby utworzyć odpowiednią emeryturę dla oficerów terytoryalnych, mających lat 50, a 30 lat służby z których 20 przebytych w rezerwie, autor bierze za podstawę organizacyę kasy inwalidów marynarki i pragnie utworzyć instytucyę prywatną pod kontrolą państwową.

Proponuje on aby każdy oficer terytoryalny składał do kasy tym samym tytułem jak oficer armii czynnej 5% swoich dochodów prywatnych, co w ten sposób dałoby kasie 2 do 3 milionów przychodu rocznie.

Nadto, jeśli ściągnie się zaraz oszczędności do kasy emerytalnej, możnaby zrealizować, przed zlikwidowaniem pierwszej pensyi emerytalnej, kapitał około 60 milionowy, którego procenta mogłyby powiększyć przychód kasy w ten sposób, że ta ostatnia mogłaby zaraz utrzymać do 3. tysięcy emerytów.

Wkładki byłyby obowiązujące tak samo jak w każdej branży administracyi rządowej.

Taka jest podstawa projektu p. Kossarskiego, i zdaje się ona być praktyczną.

Granice szczupłe dziennika naszego nie pozwalają nam rozwinąć nasze zapatrywanie co do projektu tego; zostawiamy rzecz tę naszym finansistom, którzy jedynie kompetentnymi są do definitywnego rozwiązania tego zadania. Chcemy tylko skonstatować tendencyę do studyów poważnych i patryotycznych, które się objawiają, a przedewszystkiem oświadczamy uznanie nasze szlachetnej tendencyi i bezinteresownej pracy oficera armii czynnej, chcącego upośażyć swoich kolegów terytoryalnych, przywilejem, z którego sam korzysta.

Nikt zaprzeczyć nie może egzystencyi niedostateczności w naszem prawodawstwie wojskowem pod względem organizacyi rezerwy i słusznem jest wyszukać środki praktyczne aby je uzupełnić jak najrychlej.“

Pan Oktaw Pietruski, zastępca Marszałka Wydziału krajowego, obchodził obecnie jubileusz 25-letniej autonomicznej służby... przy pochodniach, niestety pałących się wsi i miast galicyjskich, których porządek urządziły właśnie owe kliki, chwalące się bezustanną pobłażliwością p. wicemarszałka naszej autonomii galicyjskiej. Wiele z tych miast odpokutowało już taką manię pobłażliwości, a mianowicie obecnie Stryj!.. Gdy pobłażliwość ta potrwa dalej i u nas w Drohobyczu, na co się niestety zanosi, to nasze miasto niezadługo doczeka się losu Stryja. Jako bezwzględni zwolennicy autonomji, życzymy Jubilatowi w jej interesie, aby przez drugie 25 lat odrobił to ścisłą kontrolą czynności niższych władz autonomicznych, co się zaniedbało pod jego wicemarszałkowstwem w pierwszej ćwierci wieku tej autonomii naszej. *Gazeta naddn.*

W Borysławiu mówią, że jest nędza; ale to nie prawda! Gdzieżby znów nędza była tam, gdzie się wydarzają n. p. takie fakta. Jeden z kuczynerów Lippe S dostąpił w tych dniach tej godności, iż został kasyerem płatniczym. Urząd nowy trzeba było oblać, aby być przyjętym w grono szczęśliwych kolegów. Zaprosił też p. Lippe S. sporą dozę tychże do siebie i rozpoczęła się feta. Co tam zjedzono, o tem milczy fama, ale wypito na koszt p. Lippy S. przez jedną noc 169, mówię sto sześćdziesiąt dziewięć litrów wina węgierskiego. Liczęc jeden litr skromnie po 1 zł. 50 ct., to wypito przez noc jedną tego wina przeszło za 250 złr. Naturalnie, że p. Lippe S. tylko „forszusował“ ten grosz, bo ową zaliczkę odebrać może sobie z lichwiarskim procentem od biednego robotnika borysławskiego sposobami, wyjaśnianemi przez nas już niejednokrotnie. W ten to sposób bogaci się i łajdaczy niejeden kasyer borysławski, gdy tymczasem wyzyskiwany i łachmanami okryty robotnik tameczny po kilkuletniej ciężkiej, dziennej i nocnej pracy, nie tylko, że nic nie zarobi, ale i owszem w najlepszym razie pozostaje wiecznym dłużnikiem kasyera, lub opuszcza Borysław niezdolnym do pracy kaleką, a co gorsza zbrodniarzem, zaludniającym zakłady karne. Czy jest w stanie który z wykształconych a uczciwych ludzi pozwolić sobie takiego wybryku, jak kasyer „pan“ Lippe S.?

Gazeta naddn.

Z powodu niepokojów, jakie między ludem się pojawiają, zamieszcza *Dziennik pozn.* kilka uwag, na które się w zupełności piszemy, a które „przodujące warstwy“ wziąć sobie do serca powinny: Smutne to nad wyraz objawy — powiada *Dziennik pozn.* Zapewne, że na razie, czujność władz może i powinna zaradzić choćby efemerycznym wybuchom. Ale środek to tymczasowy i na nim poprzestać nie należy. Jedynie tylko rzetelna praca w kierunku oświaty ludu może zapobiedz podobnie smutnym objawom. Przedewszystkiem zas, o ile nam się zdaje, należy znieść ów nieszczęsny rozdział gminy od dworu, a nadewszystko — propinacyę. Niech stosunki nasze, jakie panują pomiędzy większą, a mniejszą własnością będą przykładem i nauką dla Galicyi. U nas mimo Bóg wie jakich podszeptów do niczego podobnego przyjść by nie mogło. U nas z dumą to powiedzieć możemy, jest jedna rodzina i jedno społeczeństwo, a stało się to tylko skutkiem zniesienia propinacyi, znoszenia karczem i szynków przez oświatę. Stosunki te jeszcze więcej ścieśniać się będą, bo coraz bardziej pracować będziemy nad oświatą ludową, a wszelkie prace nasze narodowe i społeczne opieramy i oprzemy na szerokiej podstawie ludowej. W krzewieniu oświaty, w podnoszeniu świadomości obywatelskiej i narodowej ludu naszego — w łączności a nie wyłączności, wspólnej pracy około dobra ogólnego — spoczywa tajemnica wzajemnej miłości, ufności, braterstwa i solidarności. *(Unia).*

Wzorowy nauczyciel. W miesiącu lutym zasądził tarnopolski sąd okręgowy nauczyciela szkoły ludowej w Łuce Andrzeja Gotwalda, za fałszywą przysięgę na 2 miesiące więzienia zaostrzonego postem co tygodnia i na odszkodowanie 20 złr. poszkodowanemu włościaninowi S. Łotockiemu. Gotwald dał do przechowania Łotockiemu 20 próżnych ulów słomianych. Odbierając te ule, zażądał od Łotockiego drewnianych; przysiągł w sądzie, że takie były ule, a sąd skazał Łotockiego na zapłacenie 20 złr. odszkodowania. Łotocki oskarżył Gotwalda za fałszywą przysięgę, i przy rozprawie wykryła się cała machinacya tego nauczyciela „bez nagany“, jak stało w jego świadectwie, wystawionem przez okręgowego inspektora tarnopolskiego, p. Michałowskiego. Ten sam nauczyciel „bez nagany“ stawał już przedtem o ś m r a z y przed sądem, poszlakowany o zwyczajne złodziejstwa. Pobocznem zatrudnieniem jego były donosy na osoby, które mu w jakikolwiek sposób stawały w drodze i tak denuncyował ks. Zarzyckiego z Stryjówki o „n i h l i z m“, a ks. Jasienickiego z Kutkowiec o obrazę majestatu. Charakterystycznem jest to, iż gdy namiestnictwo nakazało przenieść tego „przykładnego“ nauczyciela z Proniatyna, inspektor p. Michałowski przeniósł go z awansem na lepszą posadę do Stryjówki, a gdy gmina w Stryjówce nie chciała go przyjąć, na co się i Rada szkolna krajowa zgodziła, p. Michałowski przeniósł go do Łuki. Czy Gotwald, — jak mówią, prawa ręka p. Michałowskiego — będzie jeszcze i teraz awansować, niewiadomo.

Nr. 73. Ogniska domowego, czasopisma illustrowanego, zawiera: W pięćsetną rocznicę zaślubin Jadwigi z Jagiełłą i połączenia Litwy z Polską (Unia, jej początki i znaczenie w Słowiańszczyźnie), przez J. K. G. — W ogniu wolności, szkic z 1864 r., przez W. Koszczyca. — Jeleń, przez Aleksandra Ubysza. — Omanki, dramat czarodziejski w trzech odsłonach, przez Tomasza Olizarowskiego. — Wycieczka w góry karpackie nad górną Łomnicą, napisał Juliusz Turczyński. — Obrazki z Katorgi, opowiadanie L. Zielonki. — O Mickiewicza Odzie do młodości, studyum strategiczne. — Pogawędki u ogniska domowego, przez Brunona Ubaldusa. — Chwile marzenia, nap. Janina Antoniewiczówna. — Przegląd literacki i artystyczny. — Objaśnienia do rycin. — Rozmaitosci. — Zadanie konikowe. — Arytmogryf. — Kwadrat magiczny. — Rozwiązanie zadań. — Rozwiązanie zadań nadesłali. — W numerze tym mieszczą się bardzo piękne ryciny: a) Cmentarz przy zachodzie słońca. rys. H. Grabiński. — b) Litwin. — c) W pełni, rys. H. Grabiński.

Sprawozdanie targowe.

Znaczne oziębienie się powietrza w zeszłym tygodniu i zamiecie śnieżne, które prawie przez całą środkową Europę przebiegły, nie odziałały tak źle na oziminy i już powschodzona jarzyna, jak to można było się spodziewać Z polepszeniem się powietrza, wegetacja, która znacznie została wstrzymaną przez zimna, powoli się poprawia. W Niemczech, szczególniej we wschodnich częściach kraju, słychać skargi na stan ozimin. — We Francyi przy sprzyjającem powietrzu, jakie panowało w ostatnim tygodniu, pszenica, żyto i owies również i rośliny pastewne mają nie pozostawiać nic do życzenia. W Rosji szczególniej w zachodnio-południowej części kraju, w skutek braku śniegu podczas zimy, stan ozimin nie szczególniej się przedstawia; donoszą, że pszenica wogóle, szczególniej banatka znacznie ucierpiała i małe rokuje nadzieje, żytu zaś zaszkodziły wiosenne przymrozki, tak wielkie, że o rannej pracy w polu mowy być nie mogło. — Z północnych Węgier przychodzą wiadomości, że wskutek zimna pszenica trochę zerzadła, jako też i żyto. — W południowych częściach Węgier żyto ma się już wykłaszać. — U nas lubo skarzą się tu i owdzie na niedość pomyślne urodzaje, jednakże przy ociepleniu się powietrza zdaje się, że przyjdą do siebie.

W handlu zbożowym, jak za zwyczaj po świętach, na wszystkich targach Europejskich panuje spokój, — ceny przecież zostały niezmienne.

W Rosji żyta mniej, w Holandji żyto spadło trochę w cenie — Pszenica w Anglji, we Francji, Belgji, utrzymuje się w pierwotnych cenach, ale jest mało popytu. — w Galicji popyt za zbożem przez młynarzy na jesienną dostawę dość ożywiony, że zaś właściciele zachowują się biernie, ruch jest skromny; ruch gotowym ziarnem jest mały, z powodu małego dowozu.

Przy bliższem rozpatrzeniu się, nie od rzeczy będzie tu nadmienić, — że dowozy z Indji nie tak strasznie się przedstawiają, jak pierwotnie sądzono. — Indje najprzód około 20 milionów akrów mniej obsiewają pszenicą aniżeli Ameryka, a nadewszystko, że ziemia w ogólności ma być daleko mniej urodzajną jak w Europie, a nawet nie ma porównania co do wydajności ziemi w Stanach Ziednoczonych, — dalej że 200-miljonowa ludność Indji daleko więcej potrzebuje na wyżywienie, jak 60 miljonowa ludność po za Oceanem, a nakoniec nie wszystkie okolice Indji zdatne są pod uprawę pszenicy. Wywóz więc pszenicy indyjskiej uważać można za sztucznie wywołany przez kupców angielskich dla częściowego zrównoważenia exportu wyrobów angielskich, z importem zboża indyjskiego.

Ceny targowe z dnia 8. Maja.

Pszenica gotowa	8·25	do	9·—
Żyto gotowe	5·50	„	6·25
Jęczmień . , ...	5·25	„	7·50
Owies	6·50	„	7·—
Groch	6·—	„	10·—
Wyka	6·50	„	8·—
Rzepak	—	„	—
Hreczka	5·—	„	7·—

Koniczyna 40· — 53· za 100 kilo bez worka

Chmiel za 56 kl. po —· do —. bez odbiorcy.

Okowita za 10.000 litr. pr. we Lwowie 23·50—24.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Jan Nepomucen z Oleksowa Gniewosz.**   Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. Poremby), Rynek l. 9

Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego